

PISMO DLA RODZIN.

№ 38. Warszawa, dnia 11 (23) Września 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	„ 4 k. „
kwartalnie	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Od Redakcyi.

Z powodu zbliżającego się kwartału IV, prosimy łaskawych czytelników naszych o wczesne odnowienie przedpłaty, dla uniknienia zwłoki w odbiorze pisma.

NA ŁUK TYTUSA *).

W cichy wieczór księżycowy
Stałem pod rzymską ruiną,
Na forum, gdzie wrzeszczą sowy
Campo Vacino.

Gdzie kolumny architrawy,
W mgle srebrnej sieci
Marzą tak na gruzach sławy,
A księżyc świeci.

Nagość ruin mgła tam kryje,
Smutek przemaga,
Bawół stepów wodę pije
Ze sarkofaga.

Z Koloseum od Zwierzyńców
Chudy lis szczeka,
I pieśń słychać barbarzyńców
Gdzieś tam z daleka.

Łuk Tytusa wielki, biały,
Kreślił się w górze,
Rzeźby w noc się ożywiały
Ryte w marmurze.

Owe barki pochylone,
Nędzą i żalem,
Owe czoła zasmucone
Po Jeruzalem.

Zda się jękną smutne głazy,
Marmur zaboli;
W proch lecące te obrazy
Starej niedoli.

Gdym tak myślał, co tu sztuki,
Co łez zaletą,
Pod te stare rzymskie łuki
Przyszedł Żyd z Ghetto.

Jak cień smutny smutnej doli,
Śród ruin sunął,
I przybliżył się powoli,
Na bramę splunął.

Westchnął z głębi, i nad głową
Załamał dłonie;
I przypomniał nędzę nową
W nowym Zakonie.

Jak pod cieniem tam daleko
Północnej bramy,
Ze łzą krwawą pod powieką
Szedł cień ten samy.

T. L.

*) Wiersz ten napisany został w Rzymie, w imieniniku Irlandczyka Brown'a. *(P. R.).*

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał

Stanisław Wolski.

„Cudne to było to nasze grono
Z tą myślą wiecznie w niebo wzniesioną
I z tem ramieniem młodzieńczem hardem
Co krawędź nieba, z krawędzią świata
Sili się spoić—wierząc że zbrata."

„Farys."

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

Trzy miesiące w takiem życiu, jak nasze, przeszły jak jedna chwilka, jak sen rozkosznie prześniony, którego żałujemy po przebudzeniu. Czas wstąpienia do uniwersytetu zbliżył się—i z różnych świata krańców zaczęliśmy ściągać do Warszawy.

Pierwszy, któregom po tej przerwie kilkomiesięcznej spotkał—był Karol. Prawiem go nie poznał: utył bardziej jeszcze, zaokrąglił się, wyglądał na wiejskiego obywatela. Gdy mię zobaczył, roztworzył szeroko ramiona i wyrzekł: jak się masz. Posypały się zapytania.

— Czy jest który z naszych?—ozwałem się pierwszy.

—Dyjabli ich tam wiedzą, siedzą gdzieś po jamach, ani jednego jeszcze nie spotkałem.

Widziałem się tylko z Z. i od niego się dowiedziałem, że Gucio jest tu także i że wstępuje na wydział medyczny.

— Medyczny!—zawołałem ze zdziwieniem—czy swoje teoryje nowego ustroju społeczeństwa i do medycyny będzie stosować? Winszuje pacyjentom. A ty? — zapytałem z kolei Karola.

— Ja także zostaję medykiem.

— Co i ty?.. a tego to już nadto! Ależ pomyśl tylko, umrzesz z głodu!—czyż znajdziesz tak kogoś głupiego pod słońcem, któryby takiemu jak ty waryjatowi powierzał swój skarb najdroższy: zdrowie? Zastanów się!

— Co tam!—odpowiedział Karol—myślałem nad tem długo, rzecz postanowiona, zobaczymy zresztą!

— O innych nic nie wiesz?

— Mówiłem ci już raz, że niewiem—może nie poprzyjeżdżali! prawda!—dodał z ironiją, jeszcze wielki czas, a potem jak im drzwi przed nosem zamkną, będą utyskiwania na ciężkie czasy. Egzamin od dawna już zaczęty, a oni jeszcze pewnie w najlepsze żegnają się z mamą, ciociami i całem drobnem rodzeństwem. Ten wytrwały Alfons musi dopiero boleć, że miejsce rodzinne opuszcza. Dziwny to człowiek, ciągle wszystko u niego na twardo i z tego powodu niestrawny, jak jajka święcone.

— Otóż dobrze, że mi się przypomniało—przerwałem—masz mieszkanie?

— Nie mam, ale szukam. Wiesz!—pal dyjabli! sprobujmy mieszkać razem. Tyś goły,—ja mam trochę mniej jak nic, toć przy takiej spółce wyżyć będzie można. Przecież bieda z biedą najlepiej się rozumie.

— Tylko widzisz, zrobiłem uwagę, tyś nieporządny, łobuz, krzykacz, nie pomieszkamy długo i wyrzucą nas z mieszkania.

— A cóż to szkodzi, niech sprobują, toć mieszkań nie brak, Warszawa szeroka. Zresztą niech nie sądzi żaden z panów gospodarzy, abym mu za mieszkanie z góry lub z dołu płacił. Kiedyś mu zapłacę, ale to będzie bardzo z dołu, w pół roku, w rok—jak tam wypadnie.

— Ależ, zmiłuj się—reflektowałem—więc chcesz mieszkać i za mieszkanie nie płacić.

— Rozumie się! Tyle wydatków na głowie. Wiesz co najlepiej zrobimy, tam po drugiej oto stronie ulicy widnieją na szyldzie dwa kije na krzyż złożone, koło nich ułożone symetrycznie różnokolorowe kule, wpadnijmy tam na chwilkę! dwie partyjki, jedną!—pół!—mówił zapalając się Karol i ciągnąc mnie gwałtem do pełnej dymu i wyziewów bawaryi.

Mój przyszły szlafkamrat lubił pasyjami grę w bilard. Jeszcze w szkołach poświęcał jej długie godziny, robił to jednak ze strachem i oglądał się z bojaźnią, czy go tam kto ze zwierzchników za kołnierz nie bierze. Teraz było inaczej. Był panem siebie i swego czasu. To też gdyśmy weszli do bawaryi, narobił hałasu, jakby przynajmniej miał przy sobie, dwudziestu towarzyszy; grzecznie skłonił się gospodyni stojącej za bufetem, przywitał jednę czy dwie z usługujących pokojówek, przewrócił mały stoliczek z kilkoma kufelkami piwa i niezrażony tem wszystkiem, wtoczył się do sali bilardowej. Grałem z nim kilka partyj i znudzony nareszcie, opuściłem duszną atmosferę i udałem się na świeższe powietrze—pozostawiwszy Karola w bawaryi.

W parę godzin po tem, przechodząc przez ogród,—spotkałem go znowu. Wracał z bilardu. Grał nie wiem wiele partyj, zgrał się fatalnie, był jednak najzupełniej z siebie zadowolony.

Wynaleźliśmy sobie mieszkanie, i gdy smutny Październik 186... zawitał do Warszawy, myśmy byli już urządzeni, okitowani, aż miło. Wszystkiego tego ja naturalnie dopełnić musiałem. Karol dzielił cały dzień między bilard, spacery, czytanie dzienników i picie czarnej kawy. O niczem, tyczącem się urządzenia mieszkania i wygód życia, nie myślał wcale. Urządzał się tak, jak się urządza tysiące młodych ludzi, bez myśli o jutrze, tak sobie, aby dalej.

Wszyscyśmy, przyjechawszy do uniwersytetu, myśleli z małemi odmianami tak samo. Co to po tem wszystkiem!—sprawy dotyczące całego świata ciążą na naszych barkach, nie zajmujmy się więc drobiazgami, zostawmy to naszym służącym.

A trzeba też to znać tych akademickich służących? Są to osobne typy famulusów, kradnących za trzech zwykłych, ale w drobnych tylko rzeczach; grubsze pieniądze, zegarek możesz bezpiecznie zostawić, żaden nie ruszy. Tylko cukier, herbata i t. p. znika jak kamfora!

Towarzysze moi zaczęli zwolna ściągać do Warszawy. Jednego dnia przyjechał Józio Nr. 1, drugiego Julek, trzeciego któryś, tak że jakoś w niespełna tydzień, całe nasze małe gronko—z dodatkiem tysiąca innych sypnęło się do gmachu uniwersyteckiego z patentami w ręku i z chęcią zapisania się na jeden z wydziałów. Co to było zdziwienia, wrzasku, zapytywań, informacyi, zanim rok szkolny się rozpoczął, trudno tego wypowiedzieć.

Nie wiem jak się to stało, że jednego dnia w wieczór całe nasze grono zebrało się do nas na herbatę.

— Jak się masz! jak się masz! nie wiedziałem gdzie mieszkacie!—ozwały się tysiączne zapytania.

— Pozdawaliście wszyscy egzamin wstępny?—pytał któryś.

Wszyscy podnieśli w górę palce.

— A to śliczna rzecz aż miło, wiwat nasz akademicki stan i nasze niezależne życie bez myśli o jutrze! I zanuciliśmy hurem:

„Dalej bracia w górę szklanki!
Każdy zdrowie swej kochanki!"

Pieśń nasza brzmiała jakoś nie hulaszczo, lecz poważnie, jakbyśmy, wchodząc w nowe życie, obrachowali się wprzód z jego wymaganiami i spoważnieli od razu. Ale kto w tedy myślał o rozwadze. Gdzie jest naród pod słońcem, któregoby synowie w pierwszy dzień po wstąpieniu w bramy uniwersytetu myśleli i rozmawiali poważnie? Pokażcie mi takich, wtedy powiem, żeśmy bez użytku czas spędzili. A pieśń szła jedna za drugą, wesołość rosła, tak że nasze mieszkanie zaczynało być na prawdę w niebezpieczeństwie.

ŚLADY ŻYCIA.

XXXVIII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Podstarzała zalotnica, zanim okrutna dłoń starości, zetrze resztę wytartych wdzięków z jej lica, przyodziewa się w sztuczne barwy piękności. Tej samej polityki trzyma się najpiękniejsza z zalotnic—natura. Zanim chłodny powiew jesieni obnaży jej srebne kwieciste łono i nad zbolałą skronią ponurą pieśń zanuci, ukazuje się nam jeszcze w blasku cudnego uroku, przystrojona w promienie słoneczne. Ale pod owym sztucznym ogniem czuć już chłód jesieni.

Obywatele grodu nadwiślańskiego! wydobądźcie ciepłe palta wasze ze szpon izraelskich i otwórzcie uszy wasze ku pociesze melomanów, którzy, jak, wędrowne ptastwo, przybędą wnet z ciepłej krainy. Niechaj dusze wasze będą gotowe do niebiańskich zachwytów, jakimi obdarzą was różnego rodzaju dęte i rznięte instrumenta, jak również gardziołki artystyczne, przepłukane jajkiem surowem. Dajcie buzi mamie Melpomenie i pożegnajcie młode jej córeczki, urocze boginie ogródkowe.

Zaczniemy myśleć poważnie o różnego rodzaju kwestyjach społecznych. Odbywać się będą sesyje, sesyjki ku pociesze elokwentnych filantropów. Miasta prowincyjonalne przestaną doznawać losu Sodomy i Gomory, i na starych popieliskach nowe zakwitnie życie. Zjadą się szanowni prenumeratorzy i rozradują się serca redaktorów, współredaktorów i całej braci literackiej. Sielankowi marzyciele opuszczą kwieciste łono natury, a pełne matrymonijalnych zapałów dziewice—zagraniczne targi.... przepraszam.... wody mineralne.

Ustanie gorąca temperatura. Różnego rodzaju indywidua, cierpiące na wodowstręt, przyjdą do zdrowia, z wyjątkiem tak nazwanych *canes literales*, których słabość ma być nieuleczoną. Ludzkość powinna postarać się o jaki oddzielny szpital dla tych nieszczęśliwych, których liczba coraz bardziej się u nas zwiększać zaczyna.

Staniemy się tedy spokojnymi obywatelami i zaczniemy zajmować się poważnemi sprawami.

Tymczasem mamy jeszcze lato, za dowód czego posłużyć może urządzona w zeszłą sobotę loterya fantowa w Saskim Ogrodzie u nas, a w Niedzielę—w Skierniewicach. Nie wiemy, który z wieszczów naszych wygrał sielankową krówkę, którego z bezżennych szczęśliwców rodzaju męzkiego, łaskawe losy obdarzyły pięknym kapelusikiem damskim, i która z młodych turkaweczek zdobyła..... pudełko cygar hawańskich. Dziwne nieraz płata figle ta kapryśna fortuna.

„Wszystko się dziwnie plecie na tym tu Bożym świecie" powiedział poeta. Czyż spodziewają się np. poczciwi a czułego jeszcze serca emeryci, że w miłych interlokutorkach, które przypadkiem napotykają w Saskim Ogrodzie,

— Ale niech iż też pioruny zatrzasną—wołał głośno Karol—przy greckim języku napędzili mi strachu. Otwierają mi w samym środku „Anabasis," ledwie czytać umiem, walę jednak śmiało, bez akcentów, dotąd dobrze, ale do tłomaczenia ani rusz: wiem, że „Kalos" znaczy piękny i jeszcze tam coś, ale „Kalos" jak na złość w tem zdaniu nie było. Ani weź, profesor pomaga, a tu nic. Szczęściem, że drugi zapytał, na jaki wydział?

— Na medyczny odrzekłem.

— No nic nie szkodzi!—mruknął mój egzaminator i poszedłem dalej.

— Albo ten poczciwy starowina—krzyczał Gucio—co to gwałtem chciał się odemnie dowiedzieć, wiele prawodawca i mędrzec chiński żon posiadał i w jakim był stosunku do jakiegoś *Laots*, o którym pierwszy raz słyszę. Wyrazy „na medycynę" także mnie od zguby wyratowały.

— Ze mną jeszcze było gorzej—wtrącił Oleś—pytają mnie o coś z owadów, ktoś, mi szepcze: *bom bix* nie dosłyszałem, rżnę na chybił trafił *bąk*. Belfer oczy wyłupił i pyta na jaki wydział. Kropię na prawny, boć tam już sama hołota.

— O przepraszam—odrzekł Józio Nr. 2—na prawny trudno, bo wszystkiego chcą po trochu.

— Chcą encyklopedystów— dorzucił Gustaw—wszystkiego po trochu!

— Nie to chciałem powiedzieć—bronił się Józio Nr. 2—wszystkiego po trochu, to znaczy, że nas najtrudniej słuchano.

Zaśmiano się chórem, aż szyby zajęczały. Ktoś przerwał wrzawę.

— A filolodzy nasi łacinę i grecki umieją? Józiu Nr. 1 siedzisz w kącie, musiałeś to bratku skandować Virgilego, że „proszę siadać."

— A tak niezgorzej! ale machnąłem przy tłomaczeniu „Genitivus" zamiast „Acusativus" i pomieszałem profesora. Jak to, jak to? Bo to uważacie profesor nie wiedział, czy ja z niego żartuję, czy nie wiem rzeczywiście—takie mają ci poczciwcy, dobre o nas wyobrażenie.

— Ha! ha! ha!—wrzaśnięto chórem—Genitivus zamiast Acusativus—Wiwat filolodzy, to najmądrzejszy naród pod słońcem, im to palma pierwszeństwa się należy, po nich dopiero są prawnicy. Wypijmy chociaż herbatą zdrowie Józia Nr. 1.

Głośny śmiech zawtórował wniesionemu zdrowiu.

Gdy już turnieje wstępnego egzaminu opowiedziane były, zaczęto powoli uspakajać się rozsądnie rozumować i zastanawiać nad przyszłością. Funkcyi tej na studenckiem mieszkaniu muszą towarzyszyć trzy rzeczy: *nieporządek, herbata* i *tytoń*. O pierwszy najłatwiej, dwa drugie trudniej już przychodzą.

Nieporządek robi się w sposób następujący (nikt lepiej nad Karola nie potrafił go w danem miejscu zaprowadzić): Wprowadzamy się do świeżo odnowionego pokoiku na trzeciem piętrze. Ściany wymalowane, piec przestawiony, wszystko w porządku. Reforma zaczyna się od umytej czysto podłogi. Zalewa ją tedy Karol przy umywaniu wodą, wchodzi zawsze z zabłoconymi nogami, rozrzuca tytoń, resztki papierosów i inne drobiazgi i śmieci, a przedewszystkiem nigdy nie zamiata.

Te same czynności z małemi odmianami odbywa ze ścianami, piecem, drzwiami; wszędzie odbywa wprawę w rysunki atramentem, skrobanie ścian scyzorykiem, wbijanie niepotrzebnych gwoździ, słowem dokłada wszelkich starań, aby nic z dawnej świetności nie pozostało. Do tego przyłączają się własne meble, pościel, bielizna, drobiazgi zbite na kupę, nieodłączne fajki, pudełka do tytoniu, w których nic nigdy nie ma, na stoliku lub pod stołem połamane krzesła, stół bez szuflady, koszlawy kałamarz, dziurawy samowar i wiele innych pięknych rzeczy. Z takim materyjałem kilka dni można zapanować nad położeniem i żyć według własnego uznania i wygody. Po kwartale, gdy przyjemni lokatorowie wynoszą się z trzeciego piętra, gospodarz lub rządca, bierze się najprzód za głowę, następnie każe wietrzyć i wykadzać jak po cholerycznych, myje, tynkuje, bieli, na to tylko, aby zacni następcy znów podobne do poprzedniego założyli gospodarstwo. Tak idzie w kółko. Są gospodarze, którzy studentów lękają się, jak podwyższenia podatków, i pytają z góry przy najmowaniu ciupki o jednem oknie: Czy pan aby nie student? Przy twierdzącej odpowiedzi wywijają się zręcznie, że mieszkanie najęte, ciemne, lub coś podobnego.

Z herbatą i tytoniem rzecz inna, pożycza jeden od drugiego—obiadu czasem się nie je a tytoń i herbata zawsze być musi.

U nas było tak samo, palono i zapijano herbatę ciągle. Nieszczęśliwe są owe ofiary losu te poczciwe służące studenckie, które za 1 lub 2 rs. na miesiąc znoszą wszystkie młodociane wybryki—i czasem 10 razy na wieczór nastawiają mały samowarek jeżeli zebranie liczne.

— Guciu! nic nie palisz?—mówiłem do najbliżej odemnie siedzącego doktrynera. Dym mię dusił, aż ciemno było w pokoju.

— Owszem, owszem!—odrzekł i wziął nowy nabój, pociągnął, buchnął kłębem dymu, aż mię w oczach zapiekło i począł się rozwodzić po swojemu.

— Tak tedy, panowie!—mówił podnosząc głos Gucio—na każdym wydziale mamy reprezentantów. Ja i Karol jesteśmy medykami, Oleś matematyk, Julek naturalista, Józio Nr. 1 filolog, reszta prawnicy, tych najwięcej, cóż u dyjabła!

— Przedmiot najżywotniejszy! nauki społeczne! dowodził poważnie Alfons.

— Chyba dla tego, żeby nic nie robić i życia używać—dorzucił Gustaw.

— No, czy ten czy ów wydział— zabrał głos Julek—każdy dobry, jeżeli kto pracuje i uczy się. Panowie!—zawołał, podnosząc głos—zdaje mi się, że wchodząc w świat, zupełnie dla nas nieznany, każdy zrobi, co doń należy, i nie zmarnuje chwil spędzonych na ławie uniwersyteckiej.

— To się rozumie!—to się rozumie!

— I nie pozbędzie się żadnego z tych drogich skarbów jakie wnosi teraz do przybytku wiedzy, wszak prawda!

— To już będzie trochę trudniej! konkludował drugi filozof.

---

znajdą zwolenniczki praktycznego komunizmu? Tak się jednakże przytrafia. Posłuchajcie!

— Co za piękna pogoda!—miła interlokutorka, zbliża się do zagadniętego.

— Tak pani! rzecze dobroduszny właściciel portmonetki.

— Czy pan dobrodziej lubi Saski ogród? Czułe serce zaczyna wzdychać do pormonetki.

— O bardzo! — stary emeryt przypomina sobie chwile młodości.

— Mamy jeszcze kompletne lato!—Urocza rączka posuwa się ku przedmiotowi czułego wzdychania.

— W samej rzeczy!—Stare serce zaczyna bić gorąco.

— Co za piękna zieloność!—Portmonetka wpada w rękę interlokutorki, która ją ściska serdecznie.

— Ja przepadam za zielonością!—Staruszek jest w siódmym niebie, a jego portmonetka w kieszeni poetycznej interlokutorki, która zdaje się spostrzegać nagle mamę, czy ciocię i ulatnia się. Co tu poezyi w tym sielankowo-kieszonkowym obrazku!....

Tym faktem ulatniania się efemeryczno-romantycznych złodziejek kończymy tą razą ulotne dzieje grodu naszego.

Jeden z wydawców naszych p. *Unger*, otrzymał koncessyją na wydawnictwo nowego pisma illustrowanego, p. t. „*Biesiada literacka*", które zawierać będzie przeważnie belletrystyczne płody, jako to: powieści i romanse oryginalne i tłomaczone, dramata i komedyje, artykuły społeczne, kronikę spraw bieżących i dział polityczny. Będzie więc znowu miał czytający ogół nasz obficie zastawioną ucztę łakoci belletrystycznych. Wogóle coś wracamy ku staremu. Poważne wydawnictwa naukowe wloką żywot suchotniczy, a belletrystyka hula, i długo jeszcze hulać będzie. Nie mamy za złe panu Ungrowi, że wydawać będzie tego rodzaju pismo, owszem może być ono bardzo miłym przybytkiem. Zwracamy tylko uwagę na fakt, charakteryzujący wybitnie nastrój umysłowy czytającego ogółu.

„Rocznik Literacki," za rok 1874, który opóźnił się w tym roku z przyczyny wielu trudności wydawniczych, wkrótce ukaże się w handlu księgarskim, a niebawem wyjdzie i za rok 1875, poczem za następne lata wychodzić już ma regularnie w miesiącu Grudniu poprzedniego roku.

Liczbę kalendarzy powiększy w roku bieżącym: *Kalendarz dla panien*, który zawierać będzie prócz działu beletrystycznego, jako-to: powieści poezyj i obrazków historycznych gdzie występować będą znane postacie niewieście—artykuły treści społecznej i popularno-naukowej. Wydawca stara się uczynić go miłym podarunkiem dla młodych panienek.

Notujemy pocieszający bardzo fakt zwrócenia się nieco na drogę zdrowego rozsądku zbłąkanego oddawna w sferze strasznych halucynacyj poetycznego ducha p. *Mirona*. Aczkolwiek staje on znowu przed nami w postaci bladej mary bajronizmu, z goryczą na ustach

Znowu zakopcono, znowu szmer powstał, zaczęto gwarzyć, zapijać masami herbatę i palić bez ustanku fajki i papierosy. W końcu zrobiło się tak ciemno od dymu, jeden drugiego prawie nie widział.

— Otwórzcie lufcik!—wołał nie palący Józio Nr. 2—tu zemgleć można!

— Panowie, spokojność! ja teraz mówię—odezwał się milczący dotąd Mieczysław—filologija między nami najsilniejsze ma piersi, niech więc zaintonuje tę piosnkę, co to się zaczyna: „Hej bracia opryszki! Jak to dalej Józiu Nr. 1?

Wnet za przykładem silnego barytonu popłynęła swojska dzika i wesoła melodyja starej i znanej śpiewki. Na ustach z nią powoli zaczęli się wynosić mili towarzysze, którym sen zaczął kleić powieki. A wszyscy unieśli ze sobą miłe wspomnienia pierwszego studenckiego wieczoru, pierwszej zabawy, bez świadków, poczciwej, zacnej, bez rozpusty, a pełnej uroku, a takiej młodej i serdecznej. Czy było tam, aby jedno serce, które nienawidziło współkolegę? Odpowiem bez wahania: ani jednego! Wszyscy czuli, że wędrówka ciężka i dlatego kupili się wokoło siebie dla nabrania otuchy i odwagi.

d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Zdarzyło się jednakże pewnego razu, że ojciec zatrzymał go niespodzianie za pilnym jakimś osobistym interesem.

Karolowi spieszno było bardzo, dostać się co prędzej—do ulubionego teatru,—ale nie wiedział — jak to uskutecznić, gdyż musiał przódy wykonać zlecenie ojcowskie.

Nareszcie wydobywa się szczęśliwie! Ale chociaż machał do teatru, ile mu sił starczyło—spóźnił się nieborak,—i wpadając na scenę—z wielkim żalem serca,—ujrzał już na straży—przed Branimów świątynią, komparsa jakiegoś, który—w zwykłem jego przebraniu, zastępował go z powagą.

Karolek, w rozpaczy—rzucił się do garderoby, i wlazłszy pospiesznie w zapasową lwią skórę—stanął za kulisami wprost owego figuranta, dając mu wymowne znaki, — aby z miejsca swego ustąpił pospiesznie, gdyż on już przyszedł, dla spełnienia zwykłego swego obowiązku.

Figurant, nie czuły był przecież na tę całą gniewliwą mimikę—biednego Krahla, żałujące może w części—swoich dwudziestu krajcarów,—które w Meiningen'skim teatrze komparsom scenicznym płacono, i stał na miejscu niewzruszenie,— kłapiąc dla lepszego efektu zębami.

Sądził on zapewne, iż tym sposobem — odstraszy natrętnego współzawodnika. Ale zniecierpliwiony i rozłoszczony Karolek, widząc jasno, że z upartym figurantem, ani prośbą ani groźbą—nie poradzi, wziął się na inny sposób.

Obiegł zatem scenę dokoła za dekoracyjami, i zbliżywszy się pocichu na czworakach do opornego, schwycił go za ogon, i zaczął ciągnąć w tył gwałtownie.

W czasie tej sceny, ku podwojom świątyni, uroczystym majestatycznym krokiem, zbliżała się procesyja Braminów, z księciem indyjskim na czele, i ptasznikiem jego — sławnym „Popajeno" który trzymając piszczałkę swoję w ręku, a mając na grzbiecie potężną złoconą klatkę z ptakami,—i całe ubranie z piór bażantów i kapłonów zrobione, postępował ostrożnie z zawiązanemi oczyma, czepiając się białych szat Braminów.

Zrozpaczony figurant— opierał się całą siłą, uchwyciwszy nawet dla obrony stojący przed sobą słup dekoracyjny,—i wierzgał tylną łapą a dekoracyja teatralna nieprzygotowana na taki atak—chwiała się nie na żarty.

Krahl, zażarcie ciągnąc za ogon — opierającego się komparsa, przemógł go nareszcie, i zepchnąwszy w tył, wpośród szalonego śmiechu publiczności, sam stanął tryumfalnie na jego miejscu; — ale, zalterowany tak niepomyślnym początkiem wystąpienia owego, — zbliżył nie fortunnie ogon swój niestety, do stojącego w pobliżu kinkieta, i zapalił lwią skórę.

Krahl, poczuwszy niespodzianie swąd jakiś, i domyślając się wszystkiego, a widząc nadto, że gdy artyści grający i towarzysze jego—zajęci byli sztuką, nikt się nie spieszy ratować go,—przerażony—wypada nagle na przód sceny, i wśród komicznych susów i podskoków,—zwracając się ku publiczności woła:

— A cóż to u licha,—nikt mnie nie będzie ratować?!... Panowie!... przecież ja się palę!... Oj!... już parzy... Panowie,—gwałtu.... Nie bójcie się mnie!... ja—nie jestem żaden lew, ani ani żaden dziki zwierz... Ja jestem tylko, łagodny Krahluś Karolek, syn nadwornego muzykanta!... Znacie przecież ojca mego!

Łatwo sobie można wyobrazić — pioruny gniewu reżyserskiego, jakie po tej scenie nastąpiły,—i—homeryczne wybuchy śmiechu a ogólnej wesołości, jaka zgromadzoną w teatrze publiczność opanowała!

Sztuka—musiała być przerwaną,—póki ognia nie ugaszono, i nie ściągnięto z biednego Krahla—złowrogiej skóry.

Ale nigdy już on potem — od tej przygody, nie chciał występować jako figurant,—poświęciwszy się za to usilnie muzyce, — która mu chleb spokojny do śmierci zapewniła.

Maciej nasz, z zasad i przekonań swoich nie lubił niemców, a chociaż spotykając Krahla na dziedzińcu pałacowym, grzecznie mu się zawsze usuwał, i kłaniał nawet z przyzwyczajenia, spluwał jednakże pocichu, — ile razy niemczyna koło niego przechodził.

I z Macieja też to inicyjatywy, służba pałacowa—przeistoczyła nazwisko biednego Krahcowa, zmieniwszy pierwszą literę takowego. Ale

---

i łzami w oczach, ale przemawia tonem zrozumiałym, a nawet dosyć silnym i podniosłym*)

„Ziemia to grób—na którym niby na teatrze.
Farsy—błotem nurzają płaszcz tragedyi biały.
Ku jednym wąż się czołga jak ku Kleopatrze.
Przed drugimi wstrzymuje los — rydwany chwały
A ja na fantastyczne widma—smutny patrzę."

To tylko bieda, że świat przedstawia się poecie w kształcie widm fantastycznych, i że wiecznie nań smutno patrzy, i że:

„Jak lunatyk—na piersi z pochyloną głową.
Oblicza chwile szczęścia i zdobyte rany
I chciałbym wrócić w przeszłość utraconą—ptakiem."

Tego ostatniego najbardziej p. Mironowi życzymy. Pragnęlibyśmy go ujrzeć w owym uroczym blasku prawdziwego natchnienia, które świeciło mu w szczęśliwszych dniach swego talentu.

*) Patrz Kuryjer Warszawski Nr. 202, wiersz p. t. „Invocazione."

Niwa twórczości dramatycznej strasznie coś bujno u nas zakwita. Zacząwszy od lichego aplikanta do świątyni piękna aż do wytrawnego pisarza, wszyscy temperują pióra i żwawo biorą się do roboty. Mamy obiecaną sporą wiązankę nowości. Oprócz wzmiankowanych już dawniej, donosimy, że utalentowany autor „Marcowego kawalera" szykuje nowy utwór większych rozmiarów, i wkrótce odda go Dyrekcyi Teatrów Warszawskich.

Złośliwi powiadają, że odbyła się już przedwstępna sesyja do wstępnego posiedzenia członków organizującego się komitetu, który ma wziąść w swoję opiekę Ogród Saski. Co się stanie do tego czasu z Ogrodem Saskim?... to już nie należy do przyszłego komitetu. Drzewa i trawka są cierpliwe, mogą czekać....

W zeszłym tygodniu występował w Eldorado w roli Cześnika w Fredrowej „Zemście za mur graniczny" 70-letni nestor prowincyjonalnej sztuki p. Okoński. Mimo pewnych wad naturalnych i starej rutyny, p. O. należycie wywiązał się ze swej roli. Miło było patrzeć na ten jubileusz sceniczny.

Należy się spodziewać że z czasem, dojdziemy do artystycznego uobrazowania skarbów poezyi naszej, do illustracyj poematów, przedstawiających dotąd nietkniętą prawie kopalnię dla artystów. Dobry początek w tej sprawie daje utalentowany rysownik *p. Andrioli* wykonaniem ośmiu pięknych illustracyj do Maryi Malczewskiego, wydawanej w ozdobnej edycyi przez pp. Gebethnera i Wolfa. Rysunki te wykonane są kredką do reprodukcyj fotograficznych, i godnie przedstawiają wybitniejsze sceny poematu; należy spodziewać się, że p. Andrioli wszedłszy na tę drogę da nam więcej tego rodzaju prac, do których talent jego... obowiązuje.

chociaż Krahl dobrze wiedział o tem nadanem sobie przezwisku, podchwyciwszy je przypadkiem wśród nocnej rozmowy służących w sieni, bynajmniej o to nie rozgniewał się.

Był to jeden z tych ludzi—wesołych i żartobliwych, którzy wiedząc że są śmiesznymi, pierwsi zwykli z siebie żartować.

Może oni zresztą mają i słuszność, gdyż unikają tym sposobem, bardzo przykrych nieraz i dotkliwych przycinków, które spotykają takich, co o śmieszność swoję, seryjo na ludzi gniewają się, jeśli im takową w oczy wytkną.

Krahl—mścił się za to jednakże na swój sposób, a płatając różne figle sługom po dawnemu zbytkował i żartował z niemi dopóty, aż mu raz — słoń wędrowny porządnego figla spłatał nawzajem.

Lato jednego roku chłodniejsze było niż zwykle, i jak to się zdarza w takim razie najczęściej, zimna i dżdżysta po niem nastąpiła jesień. Gdy więc z tej przyczyny — mało osób wyjechało z kraju do wód zagranicznych, teatra i wszelkie widowiska nie złe robiły interesy.

Zjeżdżały się zatem do Warszawy, to truppy jeźdźców jednokonnych jak Chijarynich i Turnijerów, to rozmaite panoramy i teatra mechaniczne, to nakoniec menażeryje z dzikiemi zwierzęty i gabinety figur woskowych.

Właśnie—po wyjściu Krahla pewnego dnia na widowisko teatralne, jedna z menażeryj świeżo przybyłych, znalazłszy w mieście, wszystkie budy i rajszule zajętemi, ulokowała się w tylnym dziedzińcu pałacu Ordynatów Krasińskich, za pozwoleniem hrabiego Izydora.

Z menażeryi tej, jeden słoń tylko nieszczęśliwie wyszedł. Najprzód, nie wiedziano co z nim począć? Słonisko było ogromne, wozowni było nie wiele i wszystkie powozami zajęte, a jedna która się wolną znalazła, zapełnioną została dzikiemi zwierzętami, nie wytrzymującemi zimna. Stajnie, miały znów drzwi za małe, aby przez nie słonia wprowadzić można było.

Rada tedy w radę, i przywiązano go do słupa pod murem ogrodowym, zostawiwszy na noc na dworze, w owem wązkiem dziadowskiem podwórku. A może z tej racyi, że drzewa ogrodu pałacowego, łącząc się w tem miejscu z drzewami wychylającemi się z za muru Ś-to Krzyzkiego, jaką taką przed nieustannym deszczem dawały słoniowi osłonę.

Hrabia Izydor Ordynat obłożnie był chory, przestrzegano zatem, aby dla zupełnej ciszy w pałacu i spokojności choremu potrzebnej, nikt nawet nie grał na fortepijanie.

Że zaś, była to niedziela i sławnego przedstawiano „Wolnego strzelca" a Krahluś nasz nic lepszego nie miał do roboty, wcześnie zatem wybrał się do teatru na Krasińskim placu wówczas egzystującego, aby raz nareszcie, usłyszeć i zobaczyć tę operę, o której muzyce i dekoracyjach, cuda sobie Warszawa rozpowiadała.

Jesień, jak się wyżej mówiło—była bardzo dżdżysta, ale niedziela ta, stanowiła chyba—jej koronę!

Deszcz drobny, zimny, przenikliwy, padał od samego rana, i wzmógł się jeszcze pod wieczór, a wiatr gwałtowny— świszczał przeraźliwie.

Choćby karku nakręcić, nic nie widziałeś przed sobą na trzy kroki,—gdyż i latarnie olejne ówczesne, rzadko były rozstawione i niegodziwie w dodatku oświetlały ulice.

Krahl, tchórz z profesyi, idąc już na widowisko myślał o tem tylko: jaki to będzie fatalny powrót w nocy do domu; ale, ponieważ dzień tchórzom odwagi dodaje, szedł sobie śmiało.

Wyszedłszy atoli z teatru, a mając głowę nieźle nabitą już widmami i duchami „Wolnego strzelca" myśli sobie, a dobrzeby było może, dla nabrania ducha, zakropić się człowiekowi? I z tą myślą—wstąpił do pobliskiego kupca winnego.

Wszyscy starsi pamiętają jeszcze zapewne, że na Ś-to Jerskiej ulicy, wprost tylnych okien Sądu kryminalnego egzystował kupiec winny, który jako szyld w oknie handlu swego, miał siedzącego na beczce niedźwiadka z drzewa wyciętego. Niedźwiadek — siedział z wyciągniętą do góry łapą, a na beczce stał napis „Semper idem."

I aktualnie, zawsze on był „ten sam" jak znana wszystkim uczciwość i rzetelność kupca i nie zły jego węgrzynek, jaki amatorowie owocu winnej macicy, ciągnęli z roskoszą.

Krahl—po teatrze, zastał tam już rozumie się, liczne a wesołe towarzystwo, z autorem „Momusa" na czele, i na wstępie zaraz—spotkawszy kilku dobrych swoich przyjaciół, przyjęty przez nich okrzykiem — ochoczo zasiadł do butelki.

Czas zleciał mu nader przyjemnie i wesoło; ale „trzymał już nieborak próbę!" i północ dawno minęła. gdy nakoniec zabrał się do odwrotu.

„Północ!... godzina duchów!" pomyślał sobie Krahl w tej chwili; ale wstyd go było pokazać po sobie obawy, i dosyć mężnie, choć z wielką trudnością powstawszy od stołu, wygramolił się na ulicę.

Stanąwszy tam atoli, skoro się z nim zwłaszcza ostatni już pożegnał towarzysz biby i opuścił go, stchórzył kaducznie, i chociaż drzwi winiarni zaryglowano za nim, rad był jeszcze powrócić tam do niej.

— Dyjabeł nie śpi—jak mówią—a tu ciemno jak w grobie... Nic nie widzę na krok przed sobą... Ten absynt piekielny, do reszty mnie we łbie zawrócił... Ale ta ostatnia bocianka... to już chyba była nad liczbę... a oprzeć się nie mogłem—jak Pana Boga kocham! Licho go opętało z taką natarczywością!... Zły człowiek, dalibóg!... Doprawdy, nóg nie czuję pod sobą... Jak on to ściskał i całował...a kwiczoł jaki paradny!... nadziewany!... doprawdy, lepszego w życiu nie jadłem!

Krahl—ustawiając jak tylko mógł najlepiej—stępory swoje na koszlawym i pełnym wybojów bruku, cięty porządnie zatoczył się ku rynsztokowi i zawołał:

Och... Och. Karolku, upamiętaj się!.. a trzymaj się nieboże na nogach jak umiesz najlepiej, bo rymniesz, powiadam ci... Masz tobie! tylko com ci się znów nie zwalił... Dyjabli nadali z tą bocianką!... Dziura jakaś bestyja na drodze.

Wkrótce rozpocznie się wydawnictwo nie publikowanych dotąd utworów Moniuszki, których zebrano już dotąd *kilkaset*. Uporządkowaniem ich i redagowaniem zajmuje się Dr. *Jan Karłowicz*. Wychodzić będą drogą prenumeraty. Pierwsza seryja obejmująca 24 śpiewów wyjdzie w tym roku jeszcze, pod tytułem: „Siódmy śpiewnik domowy". Sprawa ta dotąd idzie jakoś leniwo, gdyż już oddawna o rozpoczęciu jej słyszymy.

Szkoła Handlowa założona przez p. Leopolda Kronenberga okazuje żywotność potrzeby, której zaradza. Liczba zgłaszających się kandydatów, która wynosi już 126 najlepiej to wyraża. Zarząd szkoły troskliwie stara się o wszelkie możliwe ułatwienia i pomoce naukowe dla garnącej się tu młodzieży. Dobór profesorów korzystnie też świadczy o przyszłości szkoły. Zajęli już tu posady: pp. Białecki (ekonomija polityczna), Dominik Zieliński (prawo handlowe), Vorsander (język rosyjski), Bądzkiewicz (język polski i korespondencyje) Dr. Załęski (geografija handlowa i statystyka), Stanisław Kramsztyk (arytmetyka), Kwietniewski i Dieksztein (matematyka), Milicer (chemija), Dziewulski (fizyka), Slosarski (nauki przyrodzone).

Pod najlepszą wróżbą, jako instytucyja zrodzona przez potrzebę społeczną, szkoła ta otwartą zostanie 19 Września.

Kiedyśmy już oddali do druku powyższą wzmiankę, czytamy w Wieku z d. 8 (20) b. m. Wczoraj w południe odbyło się otwarcie Szkoły Handlowej Prywatnej, założonej kosztem tutejszego bankiera, p. Leopolda Kronenberga, w obecności licznie zaproszonych osób, między innemi rektora i profesorów uniwersytetu, przedstawicieli prasy i kupców. Akt ten zagaił inspektor zakładów naukowych prywatnych w Warszawie, p. Hornberg, stosowną przemową do grona nauczycielskiego i obecnej publiczności, poczem zabrał głos główny kierownik szkoły, p. Przystański, b. dziekan wydziału fizyko-matematycznego w Uniwersytecie warszawskim. Po zwiedzeniu następnie przez gości sal klasowych, w których mieścili się już zapisani ostatecznie uczniowie w liczbie 134 (płacący rocznie za pobierane tamże nauki częścią w stosunku rs. 75, częścią po rs. 50), podpisanym został protokół otwarcia i na tem akt cały zakończono. Lekcyje w Szkole Handlowej z dniem dzisiejszym zostały już rozpoczęte.

Liczba uczniów kończących nauki gimnazyjalne w bieżącym roku, wzrosła znacznie w stosunku do dwóch lat poprzednich. Gdy w 1873 roku z patentami opuściło gimnazyja zaledwie dwudziestu kilku uczniów, w roku bieżącym cyfra ta wzrosła do stu. Rezultat obliczeń tych i wzrost ten nie wiele przecież czyni nam pociechy. Na 60,000 mieszkańców królestwa wypada jeden młodzieniec kończący nauki gimnazyjalne, gdy tymczasem przynajmniej dwóch ludzi z tym stopniem naukowym, umiera corocznie z pomiędzy sześćdziesięcio-tysięcznej ludności....

Kuryjer Lubelski ciemnemi nader barwami maluje obywateli miasta Łęczny, a propos

— Rym!... wykrzyknął nareszcie Krahl, przewracając się na ulicy jak długi... No tego tylko brakowało!... tak, najlepiej!... A mówiłem ci:—trzymaj się.

Leż-że teraz sobie wygodnie... mruczał Krahl pod nosem, przewalając się na strasznie zbłoconym środku ulicy i podnieść nie mogąc... A leż, choć do jutra... Dobrze ci kochanie!... U-um,—jak tu słodko w tej mazi, nie prawdaż?... Los do zazdrości, jak Pana Boga kocham!.. nie ma co mówić!...

Ale dyjabeł jednak nie śpi.... o nie!... Hej!.. panie!... panie!—podaj no mi pan rękę!... Nie słyszy, bałwan przeklęty—i poszedł sobie... A—idź do dyjaska,—choćby na złamanie karku!... mówił znów do siebie, zbłoconą ręką twarz obcierając.

A gdyby się też—sprawdziła — legenda o Samielu?

Gdyby tak—on sam na przykład—we własnej osobie, zjawił się teraz przedemną?... Oj!... miałżebym się dopiero z pyszna!...

I Krahluś, na ten argument—poruszył się niespokojnie na błocie,—ale podnieść jeszcze nie mógł i klął na czem świat stoi.

— Oj!... ta ostatnia bocianka,... żeby ją!... Spłukałeś się widocznie kochanie i wstać nie możesz...

I nowe robił usiłowania, bezskuteczne jednakże jak i poprzednie. Ale wreszcie, dosiągł rękami— przeciwległego brzegu rynsztoka, i uchwyciwszy za duży kamień na krawędzi trotuaru, błotem umazany, dobrze mocując się ze sobą, powstał na nogi.

— A ha!... rzekł do siebie, zataczając się znowu ku nieszczęsnemu rynsztokowi—a mówiłem ci kochanie... probój tylko....i trzymaj się ostro!...

I wylazł nakoniec Krahl na gościniec, ale deszcz lał jak z wiadra, a na biedaku—jednej prawie suchej nitki nie zostało.

Deszcz wszakże, dwoistą oddał mu teraz przysługę: gdyż i spłukał cokolwiek straszliwie zabłocone jego odzienie, i otrzeźwił go nieco. Z otrzeźwieniem atoli stanęły mu na nowo w myśli—dawne widma i upiory „Wolnego strzelca.“

— A gdyby na prawdę, — lecz Samiel?... Brr... nie dobrze mi się robi na samo wspomnienie—tego strasznego dyjabła...

I Krahl, postawił kołnierz od swego urzędowego— tabaczkowego surduta, — a otuliwszy dobrze uszy, prawił już tylko dla dodania sobie odwagi; ale mimo to, trząsł się jak galareta.

— No—zresztą, choćby mnie już teraz dyjabeł i przycupił w jakim kącie,—nie boję się złapać by mnie musiał przez kołnierz, i nie wielką pazurami swemi—uczynił by mi krzywdę... To także—już pewien benefis.

Krahluś—potaczał się jeszcze na dobre, ale nie oglądając już, a brnąc w błocku po kolana jak mógł dobierał się do domu.

— Co to u licha—droga taka długa?— Nie zajdę—czy co!..

Nareszcie—stanął w tryumfie przed domem i już nawet kluczem w furtce zakręcił, ale sam sobie jeszcze nie wierzy, i drży wciąż ze strachu.

W ostatku jednakże zdecydował się otworzyć furtkę, i raz jeszcze niespokojnie obejrzawszy się po za siebie,—jednym susem wskoczył na podwórze jak oparzony i zatrzasnął ją spiesznie za sobą.

— A—teraz jestem pan!.. O ho!—panie dyjable, już się waćpana nie lękam wcale, skoro szczęśliwie w domu stanąłem,—mówił do siebie — odetchnąwszy swobodnie, i obcierając fularową chustką do nosa—spocone i zbłocone czoło.

I przy tych słowach zatrzymał się... dla zwykłego nabożeństwa.

— Jednakże... myśli sobie znowu,—zawsześ to przecież złe nie śpi, a i tu nie widniej —jak na ulicy... I jak na złość, mam jeszcze przed sobą do przebycia, to długie... przeklęte—dziadowskie podwórko,—takie wąskie i koszlawe... A przysłowie mówi:—„że jeśli gdzie dyjabła można spotkać, to pewno na złej drodze.“— Nużby więc teraz—ten Samiel... taki straszny!..

I głębiej tylko ze strachu pogrążył głowę w kołnierzu tabaczkowego surduta, a pot kroplisty—wystąpił mu na czoło;—gdy w tem,— istotnie czuje, że go coś chwyta za kark mocno i raptownie podnosi do góry.

Krahl,—wydał tylko jęk stłumiony i straciwszy przytomność—zemdlał.

Łatwo objaśnimy jego przygodę, skoro zważymy—jakie okoliczności towarzyszyły przypadkowi jego.

Przypomnijmy sobie, że słoń zostawiony był na noc w tem miejscu. Słoń zaś — jak powszechnie wiadomo — bardzo wdzięcznem jest zwierzęciem i z ciepłych krajów pochodzi. Nie bardzo mu zatem było wesoło, stać noc całą na zimnie i wietrze.

Że znów tak ciemno było na dworze, iż Krahl szedł prawie omackiem, nic nie widząc przed sobą stanął tedy przy owym słoniu—przypadkiem jedynie. Skoro słoń, poczuł pierwsze krople—ciepłej i ożywczej rosy, która mu na nogi spadła zrobiło mu się bardzo miło, i chciał wdzięczność swoję—w jakikolwiek bądź sposób dobroczyńcy okazać, a nie mając na to innego sposobu, schylił delikatnie po Krahla długą swoję trąbę, i schwyciwszy go za kark posadził sobie na grzbiecie.

Biedny Krahluś—całe dwa dni spędził w malignie,—a trzeciego, skoro przyszedł cokolwiek do siebie, kuchmistrz pałacowy Creté, siedząc przy łóżku jego—opowiadał mu:

— Jako ziębniętego i bezprzytomnego Krahla na wznak na słoniu leżącego, zdjęła nad ranem, niezmiernie zdziwiona służba pałacowa, nie mogąc sobie żadną miarą wyobrazić, jaką by tam u licha dostał się drogą?

Słoń jak mówiliśmy wyżej był bardzo duży, a w pobliżu—nie było nawet żadnej potrzebnej ku temu już drabiny. Nadto służba pałacowa, o tak spóźnionej godzinie snem twardym w pałacu spała. Nikt mu zatem do wgramolenia się na słonia — zdaniem służących, dopomódz nie mógł.

Znowu więc na plac wystąpiło — złe. Że zaś jeszcze w dodatku całe ubranie Krahla— straszliwie było zabłocone,—gadka więc służących rozniosła między sobą po cichu: że pani Piotrowa, żona stajennego, wstając do

---

odbytego w tem mieście jarmarku. Oto powiada autor korespondencyi:

Lepszych przedstawicieli konserwatyzmu jak obywatele łęczyńscy znaleźć trudno. Wszystko tam się dzieje po dawnemu, a to tak dalece, że jestem przekonany, iż gdyby wskrzeszono zmarłego przed dwustu laty sławetnego mieszczanina łęczyńskiego, nie znalazłby różnicy pomiędzy dzisiejszym a ówczesnym stanem miasteczka. To samo błoto na ulicach, te same bagna na placach, te same drewniane, wiszące w powietrzu chodniki, ten sam brak jakichkolwiek wygód i urządzeń znamionujących postęp cywilizacyi, a nadewszystko ten sam lud bezmyślny, nieumiejący wyeksploatować w sposób zgodny z wymaganiami dzisiejszej ekonomii warunków, w jakich go postawiono. Co dom—to hotel, lecz hotelu niema ani jednego, co dom—to kram, lecz nie ma ani jednego porządnego sklepu; rozległość miasteczka znaczna, lecz nie ma ani jednego uporządkowanego placu, ani jednej uregulowanej ulicy. Miliardy rubli, jakie się przesunęły tutaj w ciągu lat długich przez ręce przybyszów, niezostawiły po sobie śladu. Małe zaledwie odsetki od tych sum uwięzły w tym kącie i nieujrzały więcej światła bożego, a jeżeli i ujrzały, to zostały skierowane tak, że ani ogół ani sam właściciel istotnej z nich nie odniósł korzyści „*Maciek zrobił, Maciek zjadł*“.

Dziś, gdy brnąc po kolana niemal w tłustem błocie łęczyńskim, przeciskam się pomiędzy setkami wozów ustawionych w iście jarmarcznym porządku, gdy co chwila widzę przed sobą, jak kogoś porządniej odzianego przenoszą na plecach tragarze z chodnika na chodnik, gdy z przestrachem myślę o mogącym się wydarzyć pożarze, któryby tu nie znalazł tamy ni zapory i mógłby w krótkim czasie o milionowe straty przyprawić nagromadzone w towarach kapitały, gdy nakoniec, co chwila obija się o moje uszy przykre ubolewania na brak jakiej takiej komunikacyi Łęczny z ucywilizowanym światem, pytam się, czy tych wszystkich niedogodności usunąć nie można, jeżeli już nieodzownie tak ważne jarmarki w Łęcznie być muszą, lub w przeciwnym razie czy one mają tam prawo bytu wobec innych więcej dogodnych, więcej odpowiednich na ten cel miejscowości.

Z nowego Miasta nad Pilicą, piszą do Kuryjera Codziennego, że w dniu 3 b. m. miejscowość powyższa przedstawiała nader miłe ożywienie, a to z powodu zapowiedzianego odczytu o jedwabnictwie, teatru amatorskiego i zabawy tańcującej. Odczyt o jedwabnictwie, miał czasowo w przejeździe bawiący tam członek rady nadzorczej spółki jedwabniczej, p. Józef Helbich adwokat. Odczyt ten mimo nieobudzonej dotychczas wiary w przemysł jedwabniczy, miał stosunkowo licznych słuchaczów, którzy z wielkiem zajęciem przyglądali się produkcyi tegorocznej kokonów. Prelegent zwrócił zarazem uwagę, iż osada Nowego Miasta szczególniej hodowli jedwabników jest sprzyjająca, co dowodzi istnienie w kwitnącym stanie morw w miejscowym parku, jak niemniej całego morwowego lasku w sąsiedztwie dóbr Swidno.

dziecka swego w nocy — do kołyski,—widziała na własne oczy, jak dyjabeł kusy z ogonem, schwyciwszy powracającego niemca do domu, w błocie go najprzód unurzał, a następnie zmęczonego i bezprzytomnego — na słonia wrzucił.

Wkrótce zaraz po opisanej przygodzie Krahla ze słoniem, przybył tu, młody Zeltner z Szwajcaryi.

Jenerał Kościuszko przebywając w Szwajcarji, w ścisłej żył przyjaźni z Zeltnerami i mieszkał nawet u nich. Ojciec mój zaś podróżując tam jednego roku, poprzyjaźnił się z tą zacną rodziną, i dla tego też młody Zeltner zjechawszy do Warszawy, stanął na jakiś czas gościną w domu rodziców moich.

Ten sam Zeltner, jeśli mnie pamięć nię zwodzi, po dziś dzień mieszka w Genewie, a w chwili obecnej, liczyć już musi najmniej z lat ośmdziesiąt.

Zeltner, dosłużył się w wojsku Związkowem stopnia pułkownika, a w młodości, nader interesującym był człowiekiem.

Dzielny i żywy, wesół i dowcipny, grał, śpiewał i tańczył znakomicie.

Nie suwano wówczas leniwie jak dziś nogami, ale tańczono zgrabnie i z życiem, a taniec taki wcale inaczej przedstawiał się jak obecnie. Zamiast znudzonych sobą i towarzystwem twarzy, widziałeś zarumienione szczerą ochotą oblicza, a taniec trudny, którego trzeba się było koniecznie uczyć od nauczyciela, wpływał bardzo, na rozwinięcie szykownej, pełnej gracyi i lekkości postaci, zwłaszcza też u kobiet.

Prócz innych, tańczono głównie gawota i menueta, ale najwdzięczniejszem było fandango z szalami.

Referendarz Stanu Zaleski, był ojcem moim chrzestnym, i mężczyzną do tego wyższym, od wszystkich. W największym kościele górował on głową nad zebranymi, i jednym rzutem oka, sięgał od kruchty do wielkiego ołtarza. Widział doskonale, nawet służących do mszy św. ministrantów. A gdy podczas dwudziesto pięcioletniego, jubileuszu odpustowego papiezkiego, stał wraz z ludem w kościele, bijąc się w piersi nabożnie, i powtarzając podług pokutnego rytuału jubileuszowego, stosując do grzechów swoich rozumie się: Głupim ja!.. głupim ja! głos jego słyszany był w całym kościele.

Nic pocieszniejszego, jak widzieć było ogromnego owego gidiasza, kręcącego się w fandango z szalem gazowym, który to o głowę jego, to o guziki ubrania zaczepiał się.

Szykowny i zręczny Zeltner, wodząc rej uwijał się znakomicie, w tych wszystkich istotnie pięknych, a dzisiejszemu pokoleniu ledwie z wieści znanych tańcach, ale Referendarz, znużony i zmęczony, wśród ogólnego śmiechu zebranych kobiet, które rade mu figle płatały, z poplątanym jeszcze w koło ubrania szalem, sapiąc ciężko, rzucał się na sofę.

Zeltner przy wszystkich tych zewnętrznych, cennemi nadto charakteru przymiotami odznaczał się, a celował też śmiałością i odwagą swoją.

Tym sposobem więc trzymał on zawsze prym, a dla facecyjek swoich i brzuchomówczych figlów, nader pożądanym był gościem. Ale brzuchomówstwo jego jednakże nie małym było dla służących naszych postrachem, i Maciej wbiegł raz mocno przerażony do ojcowskiego pokoju.

— No! cóż ci się tam znowu stało? zagadnął ojciec Macieja, widząc zakłopotanie jego.

— A madrepory, Wielmożny Pułkowniku!

— No i cóż madrepory?

— Kiedy sam nie wiem, jak to powiedzieć!

— Jak to?.. nie wiesz!... A z czemże do licha tu przyszedłeś?

— Z czem?.. Juściż wiem Wielmożny Pułkowniku z czem, ino nie wiem, jak to mam powiedzieć panu... Boję się bowiem żeby pan czasami nie śmiał się ze mnie....

— Przecież?

— Ale, bo to dziwne zdarzenie, Wielmożny Pułkowniku!

— Jak to?

— A tak, panie Pułkowniku... Oto Kaśka nasza dziś do mnie zagadała.

— Głupiś Wasan!

— Wielmożny Pułkowniku, jak Boga kocham, gadała do mnie.

— Co ci się w głowie troi?

— Niech mnie pan tylko wysłucha.

— No to mówże jak tam było.

— Otóż przed kwadransem może, czyściłem ją zgrzebłem, i świstałem sobie spokojnie, marsza naszego wojennego...

— I cóż dalej?

— W tem, wszedł do mnie ten pan... Zelter, czy jak się on tam nazywa,.. co to przyjechał do nas nie dawno ze Szwajcaryi, i mówi mi kiepską polszczyzną:

— Jak się miała Macieju?

— A zdrów dzięki Bogu, proszę pana. Ale zaraz jakoś uciął, i odwróciwszy się odemnie do ściany, wziął do rąk uździenicę Kaśki oglądając zaprząg na wszystkie strony.

Ja zabrałem się też na nowo do roboty swojej, i zacząłem smarować kopyta Kaśce; ale tu ona w głos do mnie.

— Macieju,.. daj obroku..

Podniosłem prędko głowę, patrzę. a Kaśka, jakby nigdy nic i stoi spokojnie.

— Kasiu!.. co tobie?

— Daj obroku, gada mi powtórnie, chrupiąc owies.

Tego było już zanadto! Rzuciłem więc zgrzebło co tchu, i uciekłem ze stajni, a mój cudzoziemiec śmiał się tylko ze mnie do rozpuku.

Ojciec nie potrzebował więcej: wiedział już doskonale, że to była sprawka brzuchomówcza Zeltnera; ale nic Maciejowi nie objaśniał, zbywszy go żartem. I w kilka lat potem dopiero, dowiedział się raz Maciej przy okazyi, o rzeczy całkiem sobie nieznanej, to jest o tem brzuchomówstwie Zeltnera, oraz, o możności u brzuchomówców, dowolnego zmieniania głosu i przenoszenia takowego, gdzieby im się podobało.

W czasach, kiedy Zeltner gościł w Warszawie, szerokiego w mieście nabyły rozgłosu, kuracyje przyjaciela domu naszego, sławnego doktora Kopenstetera. A warto tu parę z nich przytoczyć dla osobliwości.

Jako mały przyczynek do historyi blagi przemysłowo handlowej, czytamy w jednym z zeszło tygodniowych N-rów Kuryjera Warszawskiego następującą wiadomość.

Z powodu zamieszczonego w Nrze 170 Kuryjera Warszawskiego ogłoszenia P. Kohn, o otwarciu przezeń ekspedycyi korespondencyi handlowej i posyłek w Warszawie i Skierniewicach, w rodzaju filii pocztowych, do czego p. Kohn nie miał żadnego upoważnienia, przytoczone bowiem w artykule dodatkowym, przez Kuryjer Warszawski w Nrze 202 wydrukowanym, jedyne przez p. Kohna posiadane zawiadomienie Departamentu Pocztowego, mylnie zresztą przetłomaczone, takiego upoważnienia nie zawiera, okazuje się koniecznem, dla wyprowadzenia z błędu korespondującej publiczności, która ogłoszeniem powyższem mogła by być wprowadzoną, wyjaśnić rzeczywisty stan rzeczy.

W odpowiedzi na podaną przez p. Władysława Kohn prośbę, Departament Pocztowy, pod dniem 14 czerwca r. b. Nr. 10429, oznajmił mu, że nie zachodzi przeszkoda w tem, aby p. Kohn oddawał na pocztę i odbierał z niej korespondencyję osób, które go do tego upoważnią, z warunkiem wszakże, aby osoby te wykupiły w Warszawskim Kantorze Pocztowym Gubernijalnym ustanowione bilety dla otrzymania korespondencyj przez osoby upoważnione i zaopatrzyły w takowe p. Kohna, dla okazania ich za każdą razą w kantorze pocztowym.

Oto jest cała treść danej przez Departament panu Kohnowi odpowiedzi, a nie upoważnienia, jak mu się podobało takową nazwać. Podobne upoważnienie każdy bez wyjątku mieć może, bo przepisy pocztowe nikogo od tego nie wyłączają, pozostawiając każdemu adresantowi zaopatrzonemu w właściwy bilet, podług swego uznania wręczyć takowy komu zechce dla odebrania z poczty korespondencyi.

Wreszcie nadmienia się, że żadne pośrednictwo w odbiorze z poczty korespondencyi nie może wydania takowej przyśpieszyć; wszelkie bowiem listy pocztą nadchodzące, które adresanci życzą sobie odbierać wprost z poczty, wydawane są osobom zgłaszającym się z wszelkim możliwym pośpiechem. Uważamy za koniecznie przedrukować tę wiadomość, tembardziej, że sami powtórzeniem odezwy p. Cohna, et Comp. wprowadziliśmy w błąd czytelników naszych.

I tak: dziwnym sposobem, wyleczył on raz reumatyka, który reumatyzm miał już posunięty do ostatnich granic. Wożono go po całej Europie napróżno, i nic biedakowi nie pomagało, a był prawie bliskim śmierci.

W tem, — doradził ktoś Koppenstetera. Przyszedł, obejrzał chorego — i kazał czekać z kuracyją jego do zimy.

Chory, polecał już duszę Bogu, pewnym będąc że zimy nie doczeka. Ale dożył jakoś, a gdy pierwsze przymrozki ścięły lód na Wiśle, doktór kazał wyrąbać na wodzie przerębel, i zanurzyć w rzece kilkakrotnie chorego, rozebranego do naga — a następnie, okrywszy go spiesznie kocem wełnianym i wielkiem futrem na wierzch, wsadzić do zamkniętej karety, i odwieść do domu.

Chory po takich dwóch czy trzech wodolodnych kąpielach, ozdrowiał wkrótce zupełnie ale opowiadał potem ciekawym, że za każdą razą, jak go w przerębel wpuszczano, zdawało mu się — że go ukropem zlewają.

Nie mniej ciekawą była, druga kuracyja doktora Koppenstetera, a niemałego też rozmysłu w ulżeniu cierpień choremu dowiodła.

Dama jedna zapadła na „czarną melancholiję“ chorobę nader trudną do wyleczenia. I ją też bezskutecznie obwożono po Europie, a lekarze z dawna już chorej odstąpili. Nareszcie wezwano Koppenstetera.

Zastał on, jak mówił rodzicom moim, kobietę młodą jeszcze bardzo, która z wielkich udręczeń serca dostała czarnej melancholii. Była ona tak szczupłą i wynędzniałą — że litość brała patrzeć na nią, a miała przy tem matowe jakieś obłąkane spojrzenie.

Była to epoka właśnie nadchodzących burz letnich.

Gdy więc burza taka zbliżała się, doktór kazał pacyjentkę swoję, wyprowadzać domownikom z obnażoną szyją pod rynnę, z której, spadał najgwałtowniejszy war wody, i trzymać ją pod takową czas jakiś, a zimny ten prysznic ponawiać przy każdej sposobności. Po gwałtownych tych kąpielach zamyka znów Koppensteter, chorą swoję do dużego pokoju, w którym odbywały się koncerta.

A dziwne to były koncerta!

W pokoju, wraz z chorą zamykano całą kapelę dętych instrumentów. Muzycy zaś obowiązani byli grać każdy swoje, a dąć w trąbę, ile sił starczy.

Była to tak przeraźliwa muzyka, że sami wykonawcy ledwie nie powaryjowali, a psy i koty z bliższych okolic domu, których nerwy osobliwszym tym sposobem były drażnione gromadząc się pod oknami rzeczonego pokoju, drugi składali koncert, wyciem i żałośnem miauczeniem, napełniając powietrze.

Ale chora w miesiąc już była zdrowa jak ryba!

III. *)

Któż nie zna pałacu pod Blachą?.. kto nie słyszał o nim?

*) „Urywek z Pamiętnika“ w Nr. 30 „Opiekuna“ powinien być oznaczony Nrze. I. a dalsza część tegoż w N. 34, N. II nosić winna. Pominięcie więc tego przez przypadkową omyłkę drukarską dopuszczone, niniejszem prostuje się.

Przytulony do b. Królewskiego Zamku, z pięknym na Wisłę widokiem, pełen tajemniczych przejść i gabinetów, które tak dobrze niegdyś posługiwały intrygom miłosnym, świetnych starościn i podkomorzyn, jakich pełne były salony księcia Józefa Poniatowskiego, różne przechodził on koleje.

Był nawet czas—w którym zamiast pudrowanych srebrzystym proszkiem dam, a wystrojonych w jaskrawe materyjalne suknie — rozpięte na rogówkach, z upiętrzonemi na głowach fryzurami, i rozłożonych na wezgłowiach miękich atłasem weneckim krytych ottoman, umiejętnym manewrem wachlarzy a zalotnym uśmiechem sznurowanych usteczek swoich wabiących wojewodziców i podstolicówprzesuwały się tam—skromne dziewczątka z książką naukową w ręku.

Jednem słowem, mieściła się w pałacu pod Blachą—pensyja wyższa pani Maciejowskiej, a w epoce, w której ta pensyja egzystowała tam pałac był punktem centralnym Warszawy.

Nowy Świat, pokrywały jeszcze wówczas w większości— dworki i domki drewniane. Na Mazowieckiej ulicy— gdzie dzisiejszy gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zalegała stara rudera, nosząca miano „Czerwonego Pałacu“ będąca niegdyś rezydencją poselstwa tureckiego. Za Kazimierowskim zaś pałacem, de Nassauski Zamek zwany po prostu „Denasami“ straszył nianki i dzieci legendą: o zaczarowanej księżniczce, w postaci kaczki w podziemiach jego zaklętej.

Młodzież Liceum Warszawskiego, której Rektorem był sławny Bogumił Linde, wyzywała się wówczas na odważnego, kto przejdzie podziemia Denasowskie bez zmrużenia powieki?

I sam kiedyś nawet należałem do odważniaków, co się samotnie tamtędy puszczali, a pamiętam dobrze, z jakiem tryumfem wychodziłem z podziemia, wśród oklasków kolegów.

Chociaż miałem romantyczną trochę wyobraźnię, przyznać muszę atoli, że wcale nie udało mi się tam natrafić na ślad owej zaklętej księżniczki, z którą tak gorąco spotkać się pragnąłem, ale spłoszyłem za to, niezmierną liczbę szczurów i nietoperzy podziemia Denasowskie napełniających.

Pałac Kazimierowski nie był dawniej jeszcze tem, czem jest dzisiaj. Składał się on bowiem z sześciu czy siedmiu pawilonów, w odległościach nie wielkich, frontem do siebie, a bokiem do Krakowskiego Przedmieścia stojących, i do dwu piętrowych spichrzów raczej, niż domów mieszkalnych podobnych.

Zgorzało to wszystko doszczętnie, w roku 1817, nabawiwszy szkód wielkich, licznych mieszkańców ogromną jurydyką tę — zwaną „Koszarami Kadeckiemi“ zamieszkujących. A ojciec mój, wdowcem już po pierwszej żonie do Warszawy sprowadziwszy się utracił w ogniu tym i dyplomy oficerskie, i wszystkie rzeczy swoje. Stracił on nawet prawdziwe sztuki arcy-dzieło, to jest krzyż wielki ośmiocalowy, z wizerunkiem przybitego doń Zbawiciela, wyciętej artystycznie z jednej sztuki korala. A krzyż ten jednakże, kosztował go w Hiszpanii, trzy tysiące unsów, czyli uncyj.

Wracając się do pani Maciejowskiej, i trzymanej przez nią w Pałacu pod Blachą pensyi, powiedzmy o niej słów parę.

A więc pensyja, jak zwykle pensyja każda składała się najprzód z owych licznych lub mniej licznych pensyjonarek, młodych, żywych a ognistych bardzo; dalej z Ochmistrzyni kierującej zakładem, obarczonej najczęściej kłopotami gospodarczemi, lub w chwilach wolnych, prowadzącej z professorami traktaty filozoficzne, o wychowaniu płci nadobnej. Wreszcie guwernantek surowej na pozór moralności, pilnie zajętych drobnemi intryżkami pensyjonarek, i fertycznych nakoniec istotek, w sukniach perkalikowych pospolicie, z białemi fartuszkami, co noszące miano szwaczek i pokojówek, z układną minką i bystrem na wszystko spojrzeniem, przewijały się tam po sypialniach panien, dc poufnych wdrożone tajemnic.

d. c. n.

CNOTY PUBLICZNE

PRZEZ

Adama Szymańskiego.

I.

Człowiek już w chwili swego urodzenia pod pewnym względem przestaje należeć wyłącznie do siebie: rodzicom obowiązany za życie, nieprzestaje aż do lat najstarszych zaciągać najrozmaitszych coraz to większych długów. Zakres tej najprostszej operacyi finansowej, początkowo niewielki, rozszerza się w miarę naszego wzrastania. Małe zadawalnia się tem, co mu dają rodzice i najbliżsi, z czasem rodzice już nie wystarczają potrzebującemu szerszej nauki i opieki chłopięciu, korzysta więc z różnorodnych zakładów instytucyj dobrowolnie utrzymywanych przez całe społeczeństwo. Później nie jeden zarabia na chleb tylko dzięki społecznemu ustrojowi społeczeństwa a wszyscy korzystamy z opieki, jaką ono rozciąga nad każdą oddzielną jednostką i t. d. Niepodobna nam tu ściśle rozbierać stosunku jednostki do społeczeństwa, przeszłoby to zakres naszej pracy—tembardziej iż wystarcza dla nas poznanie prawdy: że jak jednostka nie może istnieć oddzielnie od całego społeczeństwa tak też i każde społeczeństwo może się pomyślnie rozwijać tylko przy rozumnem współdziałaniu oddzielnych jednostek; w przeciwnym razie— rozwój obojga będzie fikcyją. Praca nad utrwaleniem tego naturalnego związku, zważając na jego doniosłość jest sprawą interesującą zarówno jak ogół tak i każdą jednostkę. Jednym z silniejszych węzłów, łączących jednostkę ze społeczeństwem. są owe długi, które każdy z nas od niego zaciąga. Długi owe społeczeństwo chętnie zaciągać nam pozwala, licząc, że dziecko, gdy wyrośnie w męża nie tylko zwróci mu z procentem cząstkę publicznego grosza, ale wytęży wszystkie swe siły na powiększenie narodowego mienia. *Zobowiązania, które w ten sposób przyjmujemy, nazywamy zwykle obowiązkami publicznemi.* Wiara w dobrowolne wypełnienie przyjętych zobowiązań polega na przeświadczeniu, że każdy człowiek, poznawszy je dokładnie, użyje wszystkich swych sił

ku sumiennemu uiszczeniu onych, kierując się jeśli nie przeświadczeniem koniecznego ich spełnienia to losem przyszłych pokoleń, miłością własnych dzieci. Rękojmia zaś na której opiera się ta wiara w dobrowolny zwrot długu, jest rozwój samego społeczeństwa świadomość i pewność siebie że praca którą podejmujemy nad rozwojem przyszłych pokoleń musi takie a nie inne wydać owoce, musi przynieść tylko korzyść a nie stratę społeczeństwu. Czem rękojmia ta jest silniejszą t. j. czem więcej każde społeczeństwo ma rozumnej świadomości swych czynów tem silniejszym jest związek pokolenia starszego z młodszym. A taka świadomość własnych czynów, pewność siebie przy każdej podjętej pracy jest charakterystyczną cechą zdrowych w pełnej sile życia będących społeczeństw. Brak tej świadomości i pewności w postępowaniu jest dowodem albo nie zupełnego rozwoju lub też ciężkiego upadku każdego społeczeństwa. W pierwszym razie społeczeństwo wiedząc jak mu w danym razie postępować należy, ma już i tę niezłomną pewność że gdy tak a nieinaczej kierować będzie przyszłymi ludźmi, to i ci ludzie później tak a nieinaczej urządzą swój stosunek do niego. Wtedy wszelka obawa o całość publicznego mienia, o gorliwość obywatelską przyszłych ludzi jest płonną, a rozwój społeczeństwa najtrwalej zapewniony [1]) gdyż każdy członek jego będzie dbał nie tylko o swe własne dobro ale i o dobro ogółu, każda jednostka rozumieć będzie że hańbą jest ograniczenie swej działalności widokami tylko indywidualnego interesu. Wtedy tylko w danym społeczeństwie zdrowe pojęcia o obowiązkach publicznych ujawnią się gorliwem tychże wypełnianiem, rozwiną się najdobniejsze każdego narodu cechy — cnoty publiczne. Tworzą one jeden z najokazalszych objawów udoskonalenia i duchowego rozwoju ludzkości. Łatwo teraz każdy zauważy, że aby być zupełnym człowiekiem, nie dosyć jest dbać tylko o siebie, niedosyć spłacać święty dług rodziców należy jeszcze usilnie pracować nad spłaceniem długu publicznego, czynić wszystko co tylko może korzyść przynieść społeczeństwu. Jedynie z takich cząstek złożony naród nigdy nie stanie zadługo na drodze swego prawidłowego rozwoju, jedynie taki naród zdąży iść ręka w rękę z przodującemi oświacie ludami i zdoła wytworzyć harmonijną i kształtną całość—która zwie się nowem społeczeństwem. Wiedząc o tem, rozpatrzmy się w koło siebie; postarajmy się poznać, czy społeczeństwo nasze dążąc teraz bardziej niż kiedykolwiek do swego wszechstronnego rozwoju, i w tym względzie dochodzi męzkiej dojrzałości czy też leży jeszcze spowite w pieluchach lub dopiero chwiejnym krokiem uczącego się chodzić malca wchodzi na drogę, po której oddawna już iść powinno.

Jakiemi są w społeczeństwie pojęcia o obowiązkach publicznych, takiem okazuje się jego życie publiczne uwydatniając na każdym kroku i w każdej chwili składowe elementy swego ducha. Szczególniej w razie skażenia tych elementów objawy publicznego życia występupując jako klęska publiczna zbyt rażąco same uderzają wzrok nawet nieprzywykły do podobnych obserwacyj.

Pomimo ciągłej pracy nad podniesieniem umysłowego i materyjalnego stanu naszego społeczeństwa pole publicznej działalności dotąd zarasta u nas bujnymi chwastami. Gdziekolwiek zwrócimy oczy obfita ilość faktów, wziętych z naszego życia potwierdza prawdę słów powyższych. Czy to na polu ekonomicznej pracy, czy też umysłowej lub wszelkiej innej łatwo przekonać się możemy, jak silnemu spaczeniu uległy u nas pojęcia o obowiązkach publicznych i jak ciężkie w skutek tego ponosimy straty.

Pomijam już naszę niezaradność w ekonomicznej walce z Germanizmem biorącym w ten sposób na synach Grünwaldskich bohaterów nie krwawy ale stokroć cięższy odwet. Drang nach Osten obija się o uszy każdego, znane to więc dzieje. Nie tylko w tej nierównej walce niezrozumienie swych obowiązków zadaje nam dotkliwe ciosy.

Pełne godności, nacechowane głębokim żalem odezwy „Ekonomisty“ były ciężkim wyrzutem dla naszego społeczeństwa, smutnym objawem ogłaszającym światu całemu, na jak kruchych podstawach opiera się nasz rozwój społeczny.

Doniosłe w najlepsze następstwa wydawnictwo upadło, gdyż nasi wykształceni obywatele nie rozumieją swych obowiązków publicznych.

„Kuryjer Lubelski“ ma *trzystu*! prenumeratorów! „Tydzień“ zacnie i z dolnie redagowany zawieszał swe wydawnictwo z braku prenumeratorów.

Czyż Piotrkowska gubernija niema 1000 ludzi, którzyby mogli prenumerować miejscowy organ z korzyścią dla siebie i bez dotkliwej ujmy dla swych kieszeni? Czy być może ci ludzie nie wiedzą tylko, że podobne pismo może zbawiennie oddziaływać na ich własny umysłowy i materyjalny rozwój? Ani jedno, ani drugie: jest tam i ludzi wykształconych dosyć znalazłyby się i pieniądze na to. Każdy Piotrkowianin gdybyś mu powiedział, że upadek miejscowego organu każe ci przypuszczać, iż on i jego bracia nie mają najmniejszego pojęcia o znaczeniu prasy peryjodycznej, co najmniej nazwałby cię impertynentem; każdy Piotrkowianin gdyby tylko odłożył pewien procencik marnowanych na zbytki pieniędzy mógłby nie jeden ale kilka egzemplarzy prenumerować. Dla czegoż więc, spytasz już w duchu, bogaci i rozumni Piotrkowianie nie podtrzymują dobrze redagowanego pisma? Odpowiedź prosta: ci rozumni Piotrkowianie nie mają najmniejszego pojęcia o swych obowiązkach publicznych, a jeżeli mają to nadzwyczaj spaczone. Zakrawa to trochę na nonsens, fakt jednak spełniony świadczy, że podobne nonsensa niemożebne gdzieindziej, mają miejsce w Piotrkowskiej gubernii.

Pożary niszczące kraj cały są najświeższym dowodem, jak dalekiem jest nasze społeczeństwo od zdrowych pojęć o obowiązkach publicznych. Najświeższym i najwymowniejszym zarazem, dowodem bo obijającym się w chwili obecnej jękiem tysiąca rodzin i rozpaczliwemi odezwami komitetów mających zaradzić biedzie. Teraz dopiero gdy straszna klęska zniszczyła nie jedno krwawo zapracowane mienie, ze smutkiem poznajemy, że można jej było zapobiedz utrzymywaniem straży ogniowej.

Nieutrzymywano zaś jej, bo nikt nie dał inicyjatywy do czegoś podobnego, a gdyby się ta znalazła, brakło do poparcia czynem takowej. A przecież w Siedlcach, Pułtusku i tylu innych spalonych miastach są nibyto ludzie i wykształceni i zacni, i niepodobna zaprzeczyć, są rzeczywiście. Ludzie ci wiedzą, co się dzieje na świecie, niepodobna więc żeby nie wiedzieli także o tem, że tu i owdzie w kraju formują się straże ogniowe, złożone z miejscowych obywateli, urzędników i t. d. Niepodobna zatem, żeby wiedząc o tem, nieprzyszła któremu z tych *wykształconych ludzi* do głowy myśl o założeniu czegoś podobnego i u nich tymbardziej, że częste pożary i większość drewnianych domów powinny były przygotować te szanowne głowy do wdzięcznego przyjęcia podobnej myśli. Ale głowy te zdolne do wielu najrozmaitszych rzeczy, niezdolne są do przyobleczenia swej myśli szatą czynu, gdyż nigdy niebyły przygotowywane do pracy nad sprawą, z której nie wypływają doraźne bezpośrednie korzyści, nigdy zdrowe zasady o obowiązkach publicznych nie były zasiewane w tych biednych głowach.

Jeszcze jeden przykład z innej sfery naszych publicznych stosunków. Weźmy sprawę samorządu gmin naszych. Samorząd ten jest bardzo rozległy: szkoły, drogi, kasy wkładowo-zaliczkowe i t. d.—oto pole dla rozwinięcia szerokiej działalności. Być może gołosłowne teoryje i paplaniny o dziedzicznej szlachetności mniejszą brzmiałyby w ich ustach satyrą, gdyby jak wszędzie tak i tu szlachetnym nie stał na przeszkodzie brak najszlachetniejszych zasad jakiemi kierować się powinni. Samorząd gminny z pewnością wydałby nieocenione w swych następstwach skutki, gdyby nasi szlachetni raczyli się doń zniżyć z piedestału swej wielkości, gdyby ci *„co po wszystkie wieki maluczkich nauczać mają“* raz przecie zrozumieli kardynalną zasadę wyznawanej wiary i zechcieli choć częściowo zastosować ją w życiu. Komuż łatwiej jak nie tym ostatnim rzucać myśli zacne i zdrowe, śledzić rozwój każdej a gdy która kiełkować pocznie, otuliwszy się opieką i potęgą słowa Bożego, zapewnić ostateczny tryumf z ambony? A jednak ci szlachetni, ci wybrani z małymi wyjątkami, wręcz przeciwnie postępują, i zamiast wywoływać cześć i uwielbienie dla siebie, wolą z zimną krwią znosić potępienie i pogardę od innych. Dla czego? Dla tego, że nie nauczono ich postępować inaczej; więc jak zwierzę nie obdarzone którymkolwiek ze zmysłów nie ma o jego sferze najmniejszego pojęcia, tak i oni bezwiednie ściągają na siebie uzasadnione zarzuty. Nie pogarda więc, tylko nauka i praca mogą sprowadzić pożądaną zmianę.

Te przykłady i wiele innych, których wyliczać nie podobna, a które każdy łatwo do-

---

[1]) Zdaje się że brakiem rozumnej świadomości swych czynów można dostatecznie objaśnić tę nieufność z jaką starsze pokolenie u nas patrzy na pracę młodszego. Czyja wina?

strzedz może, wymownie świadczą o zupełnem prawie skażeniu u nas pojęć o obowiązkach publicznych, o zupełnym prawie upadku tak zwanych cnót publicznych, i dostatecznie usprawiedliwiają wskazaną wyżej konieczność bliższego rozpatrzenia podniesionej sprawy.

d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

X.

Dyjetetyczna recepta przeciw chrypce.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Chrypka, połączona z kaszlem i pluciem, lub bez nich, bywa zawsze skutkiem chorobowego zajęcia krtani, lecz nie zależy od suchot gardlanych i bardzo rzadko w nie przechodzi, czego bezzasadnie obawiają się kaszlący tchórze.

Ażeby umieć w należyty sposób postępować z chorą krtanią, trzeba pamiętać, że narzędzie to, nie tylko służy do rozmowy i śpiewu, lecz także jest odźwiernym i stróżem sprawy oddychania, gdyż zajmuję miejsce z tyłu i poniżej jam: ustnej oraz nosowych, w górnym końcu tchawicy, tak, że wszystko powietrze, wchodzące i wychodzące z płuc, musi przez krtań przechodzić. Prócz tego, narzędzie głosu położone jest w taki sposób z tyłu i poniżej języka, że wszystko, co połykamy, nad niem się przesuwa; pokarm więc nie może wpaść do krtani, gdyż podczas połykania jama krtaniowa, za każdą razą zamyka się szczególną pokrywką, po nad którą pokarm i napój prześlizgują się na dół, po tylnej ścianie krtani, do jamy pokarmowej. Rzeczona pokrywka, zwana nagłośnią, ochrania zatem jamę krtaniową od dostania się do niej ciał obcych.

Ponieważ jedna i taż sama błona, wyściela jamę ustną i krtaniową, stany więc chorobowe i podrażnienia narzędzi połykania, bardzo łatwo mogą przenieść się na narzędzie głosu.

Dla tego, przy chorobach krtani należy zwracać uwagę, zarówno na jej czynność, jak i na powietrze, którem oddychamy, oraz na pokarmy i napoje, które przyjmujemy. Zwyczaj poddawania szyi, przy cierpieniach krtani, rozmaitym próbom, a mianowicie: wezykatoryjom, synapizmom, wilczemu łyku, zawłoce i t. p., jest wynalazkiem szalbierzy, i jeszcze nikomu nie przyniósł nigdy pożytku. Bojaźliwe utrzymywanie szyi w cieple, również jest zupełnie bezużyteczne; zimne okłady zastosowane do szyi, według sposobu Prysznica, także nie przedstawiają nic korzystnego.

Najlepiej zachowywać przy chrypce następujące przepisy dyjetetyczne:

Rec. *Jak największą spokojność narzędzia głosu* [1]).
Ciepłe i czyste powietrze do oddychania zarówno dniem i nocą [2]).
Lekki, ciepły pokarm [3]).
S. *Używać nie tylko jak można najwcześniej, lecz i do zupełnego ustania chrypki.*

Co do 1-go). Dotknięte cierpieniem narzędzie głosu, podobnie jak wszelka inna chora część ciała, wymaga *spokojności w najwyższym stopniu.* Kto więc ma chrypkę, powinien mówić o ile może najmniej, i nie tylko bez żadnego wysilenia, lecz nawet zupełnie cicho. Śpiew podczas chrypki, może na zawsze zepsuć głos, a głośna rozmowa i kłótnie, zwłaszcza przy użyciu zimnego piwa, w lokalach napełnionych dymem tytuniowym, przyprawiły już wiele osób z lekką chrypką, o gruby i ostry głos na całe życie. Należy również unikać silnego chrząkania i kaszlu, gdyż tym sposobem powietrze zbyt gwałtownie bywa przepędzane przez zwężoną szparę głosową, co znów powoduje mocne tarcie o zajęte struny głosowe.

Co do 2-go). Równomiernie *ciepłe i czyste powietrze do oddychania*, tak dniem jak i nocą, stanowi również jeden z główniejszych warunków wyleczenia chrypki.

Zimne, ostre i suche powietrze, szczególniej zimą, przy wschodnim i północnym wietrze, nadzwyczaj jest szkodliwe dla chorej krtani. Dla tego należy spać zimą w ogrzanym pokoju, a przy koniecznym wyjściu na zimno, nosić zawsze na ustach respirator (oddychadło). Powietrze, w którem przebywa osoba ochrypła, powinno być czyste, t. j. wolne od wszelkiego rodzaju kurzu, dymu tytuniowego, gryzących wyziewów i drażniących gazów, gdyż wszelkie nieczyste powietrze, przechodząc przez szparę głosową, prawie zawsze powiększa cierpienie krtani. Niekiedy, przy chrypce przynosi wielką korzyść wdychanie powietrza napełnionego ciepłą parą wodną.

Co do 3). Dla osób chorych na chrypkę stosowne są tylko *nie drażniące pokarmy i napoje*, to jest takie, które przy swem przejściu nad krtanią, nie działają szkodliwie na jej cierpienie, co przeciwnie, zdarza się zazwyczaj przy użyciu materyi pobudzających (mocnych korzeni, napojów wyskokowych). Do materyi pobudzających należy także zimno, trzeba więc unikać napojów chłodnych; najodpowiedniejsze są tutaj zaiste, napoje ciepłe (lecz nie gorące) i kleiste. Również dobrze działa surowe jajko lub roztwór gumy arabskiej. Twarde i suche pokarmy, nie powinnyby wcale być używane podczas chrypki.

Ścisłe zachowanie powyższych przepisów obowiązuje szczególniej osoby, dla których narzędzie głosu jest niezbędnem przy ich powołaniu, np. artystów teatralnych, adwokatów i in., tym bowiem tylko sposobem, mogą one pomódz sobie przy chorobowym stanie krtani, a nadto, uniknąć nowych cierpień. Respirator jest dla nich koniecznie potrzebny, gdyż ochrania on od niebezpieczeństwa przy przejściu z ciepłego do zimnego powietrza, szczególniej zaś wtedy, kiedy krtań jest zgrzana w skutek śpiewu lub długiej rozmowy; w tym ostatnim wypadku, należy się także wystrzegać natychmiastowego użycia zimnych napojów. Że kurz i dym psują głos, wszystkim to zapewne wiadomo. Zaziębienie skóry, a mianowicie pokrywającej nogi, szyję i kark, sprowadza nierzadko chrypkę. Kto chce pomienione części i w ogóle swą skórę przyzwyczaić do zimnego powietrza oraz wody, niech przystępuje do tego z wielką ostrożnością i stopniowo; inaczej, zamiast pożytku, dozna szkody na zdrowiu.

Nauczanie elementarne,

PRZEZ

A. Celichowskiego.

(ciąg dalszy).

II. Nauka języka.

Po nauce religii jest to niezaprzeczenie najważniejszy przedmiot, jaki po szkołach ludowych powinien być wykładany. Pomijając już bowiem tę okoliczność, że język jest głównym środkiem kształcenia się człowieka, nie będziem potrzebowali przecież dowodzić, że znajomość języka, sposób wysłowienia się, oddania własnych myśli słowami, udzielenie swoich myśli i uczuć drugim, ustnie czy to piśmiennie, jest najważniejszą koniecznością i potrzebą w życiu człowieka, by na jakimbądź stopniu wykształcenia się znajdował. Przelanie swoich myśli na papier i to w zrozumiałych, jasnych, krótkich a dobitnych obrazach, uważamy jako *ostateczny i dający się osiągać cel* szkół ludowych w ukształceniu językowym. Temu wszakże zadaniu mało się zadosyć czyni. Nauka bowiem języka po szkołach początkowych *zaczyna* się zwykle od czytania i *kończy* na czytaniu. Gdyby nauka owego czytania była racyjonalnie, według pewnych zasad pedagogicznych, z użyciem elementarza metodycznie i według najnowszych pojęć i potrzeb dydaktycznych ułożonego traktowana jeszczeby to było znośnem. Lecz tak bynajmniej nie jest.

Przypatrzmy się cokolwiek jak to ta nauka czytania jeszcze po dziś dzień się praktykuje. Ledwo dziecko przestąpi próg szkolny, dostaje elementarz w rękę (oczywiście 10 groszowy, a danoby i tańszy, tylko niestety! że ich brak) i zaczyna się jego utrapienie od tego, że mu każą ciągle w ten elementarz patrzeć i wyuczać się machinalnie z niego głosek, oczywiście alfabetycznie, co się tak długo powtarza, aż się dziecko mniej więcej wszystkich wyuczy. Potem następuje składanie głosek w zgłoski i wyrazy, rozumie się podług metody głoskowania i tak dalej, aż przecież wycierpiawszy męki Tantala, po dwóch, trzech, a częstokroć dopiero po czterech latach szczęśliwie nauczy się czytać.

Nie potrzebujemy dowodzić, jak to, obok zmarnowanego czasu, jest strasznie męczące a nadto przytępiające umysł dziecka. Taka metoda zajęcia dziecka na samym wstępie do szkoły jest w stanie obrzydzić mu szkołę, książkę, naukę i wszystko co z nią jest w

związku. Mocnoby się należało nad tem zastanowić i psychologicznie zbadać, skąd w wielu dzieciach powstaje taka niechęć, powiemy wstręt nie tylko już do książki, ale wszelkiej nauki w ogóle zajęć umysłowych, że poddaje się chętnie wszelkim innym pracom o wiele fizycznie cięższym i mozolniejszym od samej nauki. Zdawałoby się że to wrodzona własność, a jednakowoż sądzimy, że tak nie jest. Czy właśnie nie w owem pierwszem zajęciu dziecka wypada szukać owej niechęci, uciekania od książki, owego mniemanego lenistwa, które tylko jest pozorne, a na które tak często słyszymy narzekania rodziców a nawet samych nauczycieli. Czy właśnie nie na dzieci, ale na samych siebie narzekać powinniśmy, żeśmy się mimowiedzy stali przyczyną nieuctwa dziecka. Nie tylko bowiem dziecko, ale i dorosły człowiek tem się chętnie i z przyjemnością zajmuje, co mu łatwo przychodzi. Daleko więcej jest to właściwe dzieciom. U dorosłego przychodzi refleksyja, postanowienie przełamania trudności, lecz takich myśli, takiego przekonania od dziecka nie żądajmy. Idzie ono za tem, ku czemu go popęd wewnętrzny lub umysłowy powoduje. Jeżeli więc na samym wstępie sprzykrzymy dziecku naukę, zajęcia i prace umysłowe, to nie zwalajmy na nie całej w tem winy, lecz uderzywszy się w piersi, powiedzmy sobie: mea culpa, a co najmniej weźmy połowę tego grzechu na siebie.

Pierwszem zajęciem dziecka w szkole początkowej nie ma być uczenie go poznawania głosek i czytania, lecz zajęcie *nauką uobrazowania*. Niektórzy nazywają to: *nauką o rzeczach*, inni znowu: *nauką poglądów*. Ani na jedno, ani na drugie określenie zgodzić się nie możemy. Nie myślimy wszakże na tem miejscu wieść o to sporu, ale może na innem.

Nauka *uobrazowienia* jest w szkole początkowej przygotowaniem i podstawą całej nauki elementarnej. Nauczanie powinno odbywać się jedynie tylko obrazowo. Nie zajmuje się ono jednym wyłącznie przedmiotem, ale obejmuje wszystkie, które dziecku pod zmysły podpadają, mówi o rzeczach które je otaczają, rozbiera je, rozwija o nich myśli szczegółowo. Takim sposobem nabywa dziecko za pomocą nauki uobrazowienia, pierwszych elementów, pierwszej podstawy. do osiągnienia dalszej jego wiedzy, do którejby inną drogą w żaden sposób dojść w tym wieku nie mogło. Przy takiem nauczaniu obrazowem, nie należy także pominąć działania już wcześnie na młodocianny umysł dziecka, celem jego uobyczajenia. Pierwsze wrażenia są najsilniejsze i niczem nie zatarte.

Rozważmy jeszcze dalej co nam nauka obrazowego nauczania przynosi. Do szkoły początkowej dostajemy dzieci sześcio, a niekiedy już i pięcioletnie. W tym wieku nie jest jeszcze ich organizm mocny, ani siła myślenia rozwinięta. Nie mają one jeszcze żadnego dokładnego pojęcia o rzeczach, które je otaczają. Częstokroć nie są w stanie najprostszego zapytania zrozumieć, a tym mniej dać jakąkolwiek rozumną odpowiedź. Są i takie pomiędzy niemi, które pojedyńczych wyrazów nie potrafią czysto wymawiać. Wszystkim tym niedogodnościom i niedostatkom ma właśnie zaradzić *nauka uobrazowienia*, przywodząc dzieciom przed ich zmysły wszystkie rzeczy, które się w szkole, w otoczeniu szkoły, w domu i za domem znajdują, rozbierając z niemi analitycznie wszystkie ich części, i to starając się, aby nie tylko wzrok, ale i słuch, węch, smak i dotykanie, słowem wszystkie zmysły były wprowadzone w czynność. Zajęcie dzieci przez pół roku (a byłoby jeszcze korzystniej cały rok) nauką uobrazowienia, ćwicząc ich mowę, wymowę, wprawiając w wyrażenie się w zdaniach, z początku krótkich, następnie dłuższych; zestawienie różnych przedmiotów ze sobą, ich części, a potem całości, w czem które się różnią od siebie, a w czem znowu są podobne, daje nauczycielowi niezmiernie obszerne i niewyczerpane pole do zajęcia umysłowego dziecka, i zainteresowaniu go dla wszystkiego swego z otoczenia. Nie potrzeba dowodzić, ale nauka taka działa na rozwinięcie myśli, na umysłowe ukształcenie dziecka, ile mu wiedzy już w tym wieku przysparza, którejby inną drogą nie było w stanie osiągnąć.

Nauka czytania będzie więc dopiero *drugim stopniem* w rozdziale o nauce języka w szkołach ludowych. Czytanie uważane jako środek do dopięcia wyższych celów, jako pewne narzędzie ducha, którem się nauczyciel na każdym kroku będzie mógł posługiwać, zajmuje bardzo ważne miejsce w nauczaniu elementarnem. Ale jeżeli owo czytanie tylko na mechanicznem wymawianiu słów się kończy, jeżeli to czytanie jest uważane jako ostateczny cel oświaty i ukształcenia elementarnego, to stanowisko szkoły ludowej pod względem nauki języka bynajmniej nie odpowiada swemu zadaniu. Niestety, tak dziś prawie powszechnie się dzieje po szkołach początkowych.

Równocześnie z czytaniem powinno być połączone pisanie, raz, że zyskuje się na czasie, potem ułatwia się jedno przez drugie; nakoniec dziecko zaczyna wtenczas myśleć, zastanawiać się i porównywać, kiedy mu przyjdzie samemu głoski, potem całe wyrazy i myśli na tabliczce lub papierze kreślić. Czytanie druku nazwalibyśmy *biernem* zajęciem dziecka, a pisanie jego *czynnem* zajęciem. Metoda połączonego pisania z czytaniem bardzo dobrze da się w szkole ludowej, nawet znaczną liczbę dzieci mającej zastosować.

W niniejszej rozprawie nie możemy przechodzić różnych stopni nauki języka, zapuszczać się w systematyczny rozbiór, jakiego się nauczyciele przy nauce elementarnej języka trzymać powinni, albowiem toby nas za daleko odniosło od naszego założenia. Szczególny wszakże przycisk kładziemy na *ćwiczenia piśmienne* do których dzieci, według pojęcia i rozwinięcia władz umysłowych, należy wprawiać. Myśli swoje na papier przelewać i to według pewnych prawideł językowych i logicznych, oto ostateczny i najwyższy cel, jaki nauczyciel w szkole ludowej w nauce języka osiągnąć powinien i może. Zbytnie zaś dręczenie młodocianego wieku formami gramatycznemi zostaje bez odpowiedniego pożytku, sprawia często niechęć lub zobojętnienie dla rzeczy, która dziecku powinna pozostać najdroższą.

III. Nauka o świecie i rachunki.

Powiedzieliśmy wyżej, że rachowanie zaliczamy do najważniejszego przedmiotu w trzecim dziale. Nauka rachowania w szkołach ludowych, ze względu na swą ważność i niezbędność, stoi na równi z nauką czytania i pisania. Te trzy przedmioty: religija, nauka języka i rachowanie, stanowią podstawę wszelkiego wychowania i nauczania elementarnego, na jakimkolwiek stanowisku umysłowego rozwinięcia i technicznego usposobienia szkoła ludowa znajdowaćby się mogła. Na tych trzech przedmiotach też w najgorszym razie, a choćby i z dodaniem opisu kraju ojczystego, mogłaby szkoła początkowa poprzestać, i tu jak już wyżej powiedzieliśmy mógłby być przedział pomiędzy szkołami miejskiemi i wiejskiemi.

Z nauki rachowania wyprowadzamy dwie korzyści: duchową i materyjalną. W szkole ludowej nauka ta jest bardzo ważnym przedmiotem pod względem rozbudzania i zaostrzania w dzieciach władzy myślenia. Przy liczeniu nadzwyczajnie czynność ducha bywa wprowadzona w ruch, przedewszystkiem *zaś dokładność* w rachowaniu działa kształcąco i pobudzająco na rozwijanie władz umysłowych. Pod względem zaś materyjalnym zajmuje niezmiernie ważny stopień i bodaj czy nie ważniejszy od samego czytania i pisania. Weźmy np. człowieka który pisać i czytać nie umie, i z tem jeszcze przez świat może się przekopać, ale bez znajomości rachowania najprostszy i na najniższym stopniu ukształcenia umysłowego i stanowiska w społeczeństwie ludzkiem obejść się nie może. Na dokładnej i sumiennej rachunkowości polega byt i materyjalne szczęście wielu set tysięcy osób, jakiegokolwiek stanowiska by nie zajmowali.

Rachowanie polega na ćwiczeniu dzieci w obracaniu się liczbami nie mianowanemi i mianowanemi. Jeżeli bowiem liczba uważa się sama przez się jako liczba, in abstracto, w takim razie mamy na uwadze jedynie cel teoretyczny, umysłowy; jeżeli zaś z tą liczbą łączymy pewien przedmiot, pewne pojęcie np. cztery okna, jeden piec, sto domów, w takim razie liczba ta ma pewne oznaczenie, pewne jej namianowanie i w takim razie mamy z liczbami mianowanemi do czynienia. Liczby mianowane mogą znowu być jednorodne np. cztery pióra i pięć piór, lub wielorakie np. cztery pióra trzy książki. Nakoniec rozdzielamy jeszcze liczby na całości i ułamki.

Według tych trzech możliwych oznaczeń będziemy operowali albo *nie mianowanemi*, albo *mianowanemi*, albo *jednorodnemi*, albo *wielorakiemi*, nareszcie albo całemi liczbami albo ułamkami. Dalej przy ćwiczeniach rachunkowych w szkole początkowej należy jeszcze różnicę uczynić pomiędzy rachowaniem oderwanem (abstrakcyjnem) a rachowaniem praktycznych zadań, względnie do tego, czy ćwiczenia rachunkowe uprawiamy tylko dla samej rachunkowości, dla nauki, lub jeżeli te

ćwiczenia uwzględniamy na wszelkie możliwe przypadki w życiu praktycznem po za szkołą.

Mówiliśmy tylko o liczbach (oczywiście w ogólnem tylko pojęciu), ich namianowaniu gatunku i zastosowaniu. Należy nam jeszcze oznaczyć, jak daleko w szkole początkowej dzieci doprowadzone być mogą i powinny. Rzecz nie łatwa i względna. Inne postulata stawilibyśmy w szkole wiejskiej a inne miejskiej, zwłaszcza dwu-klasowej. Ale przypuśćmy przeciętny rezultat, to byśmy tak określili. Dzieci powinny przy opuszczeniu szkoły we wszystkich czterech działaniach, zarówno czy z liczbami mianowanemi czy nie mianowanemi, jedno czy wielorakiemi, całemi czy ułamkami mieć wprawę, jasne pojęcie, i dokładnie rozwiązywać. Dalej jeszcze powinno każde dziecko umieć zastosować naukę z *reguły trzech*, bo w życiu praktycznem na każdym kroku spotka się z tą potrzebą, a biada mu jeżeli nie będzie miało w niej biegłości. Wprawę w rachowaniu tego rodzaju powinny zarówno mieć dzieci szkół wiejskich jako i miejskich. Dla ostatnich stawilibyśmy jeszcze postulat obrachowania procentów, rabatu, spółki, i tym podobnych sposobów w praktycznem życiu, mianowicie miejskiem, zachodzących. W końcu dodalibyśmy jeszcze obrachowanie płaszczyzn i ciał, które nie jest tak trudnem jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Powinno tylko ze stanowiska elementarnego być uważane.

Tak jak cała nauka elementarna, tak też i nauka rachowania powinna być *obrazowa*, jedynie na przedmiotach widzialnych, namacalnych rozwijana. Co nie jest *obrazowe*, nie jest elementarne i nie należy do szkoły początkowej. Jeżeli się zaś zapytamy, jakie są środki uobrazowienia przy nauce rachowania, to te rozdzielilibyśmy na *naturalne* i *sztuczne*. Ilości w systemie liczbowym od 1—10 można dzieciom *uobrazowić* przez kropki, kreski, palce, kostki, kamyczki a szczególniej zaś na *liczydle*. Liczydła nie powinno w żadnej szkole ludowej braknąć, zastępuje ono wybornie wszelkie inne naturalne i sztuczne aparaty. Wypada tylko aby nauczyciele i nauczycielki sami mieli dokładną wprawę w rachowaniu na liczydle.

Aby uobrazowić dzieciom naukę o ułamkach, niech nauczyciel weźmie jakąkolwiek dobrze im znaną rzecz np. jabłko, wstążkę, podzieli je na równe części i wyjmując jednę, dwie lub więcej tych części z całości, uobrazowi dzieciom całą naukę o ułamkach. Dzieci to nadzwyczajnie zajmuje. Nie możemy znowu na tem miejscu wdawać się w szczegółowy rozbiór takowego postępowania, bo by to wychodziło po za zakres naszej rozprawy. Zastosowanie metody uobrazowania, tak jak i przy innych przedmiotach zostawia się indywidualnemu i dydaktycznemu usposobieniu każdego uczącego.

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy).

Indyjanin był uzbrojony w łuk i strzały, i za nim uciekający zdołali ubiedz kawałek drogi, napiął łuk a strzała ze świstem przeleciała w powietrzu.

Byłem pewien, że strzała trafiła, ale koń ani drgnął.

Biegnąc przez obóz, podniosłem jednę z długich lanc, pozostawionych na ziemi, i przebiłem nią plecy Indyjanina, zanim zdołał napiąć łuk po raz drugi.

Wyciągnąłem lancę i zacząłem biedz szybko nie tracąc z oczu białego konia.

Wpadłem po drodze na stado koni; kilka z nich było odwiązanych i biegały swobodnie po łące.

Dzicy, którzy ich strzegli, przestraszeni tak niespodzianym alarmem, nie wiedzieli co począć; to też biały rumak przeleciał koło nich zdrów i cały, wraz z drogim swoim ciężarem.

Pędziłem tedy pieszo, co mi sił starczyło aby nie stracić z oczu konia.

Pięćdziesięciu dzikich deptało mi po piętach, a krzyki ich rozdzierały mi uszy.

— Vacono! Vacono! wołali za mną. Znowu więc byłem nieszczęsnym Vacono.

— Nie wiele już brakowało, żebym popadł w ich ręce, ale wkrótce wyprzedziłem ich znacznie. Strażnicy, kiedy przelatywałem koło nich, wołali na mnie tem samem imieniem.

Spostrzegłem na znacznej przestrzeni znowu białego konia, któregom był już przez jakiś czas stracił z oczu, ale już ujechał znaczną przestrzeń. Uradowałem się, widząc go pędzącego prosto do krzaków, które pokrywały górę.

Biegłem co sił brzegiem rzeki, a kiedy doszedłem do miejsca, w którem brzeg był przerwany, nie tracąc chwili, rzuciłem się w wodę, aby czemprędzej dostać się do konia. Lecz jakie było moje zdziwienie, kiedy nie ujrzałem go już na miejscu, a natomiast stał tam jakiś centkowaty rumak Indyjanina.

Obejrzałem miejscowość na wszystkie strony, patrzyłem wzdłuż brzegów, ale nigdzie nie ujrzałem mojego Moro.

Łatwo wyobrazić sobie można mój kłopot. Z początku owładnęła mną niepewność, a później wściekłość niepohamowana. Nie mogłem sobie wytłómaczyć tego przypadku.

Może to moi towarzysze usunęli z ważnych przyczyn konia, a może Rube to uczynił, ale dla czego?

Nie zdołałem zaiste znaleść żadnego słusznego powodu, któryby mógł usprawiedliwić tę fatalną okoliczność.

Ale nie miałem czasu zastanawiać się.

Skoczyłem czemprędzej na grzbiet stojącej szkapy...

Obejrzawszy się za siebie, zobaczyłem pędzącą konno całą gromadę dzikich.

Jeden z nich wyprzedził znacznie drugich i leciał wprost na mnie, i nie miałem jeszcze czasu popędzić do ucieczki mojego nowego konia, kiedy był już tuż za mną.

Przy świetle księżyca poznałem bez trudności tego człowieka. Był to renegat Hissoo-rogo.

— Niewolniku! zawołał językiem komanszów i głosem pełnym wściekłości, to ty przygotowałeś plan tego niecnego spisku! ty podła tchórzliwa babo zginiesz! Biała niewolnica jest moją, tak moją, czy słyszy Vacono! a ty... Nie dokończył.

Miałem przy sobie lancę rzuciłem się z nią naprzód pewny żeć przecie przydała mi się na coś moja sześcio-miesięczna służba w oddziale huzarów. Koń zachował się jak należy i poniósł mnie prosto na nieprzyjaciela.

W mgnieniu oka renegat i jego koń byli rozłączeni jeden od drugiego: pierwszy leżał wyciągnięty na ziemi, przebity długą lancą, a drugi galopował bez jeźdźca po stepie.

Ale pospieszający za renegatem oddział, był już tuż za mną, ujrzałem ich przeszło dwudziestu o dziesięć zaledwie kroków odemnie. Za chwilę mogli mnie obskoczyć do koła.

W samą atoli porę przyszła mi dobra myśl do głowy. Przez całą drogę spostrzegłem, że mnie brano za dzielnego Vacono.

Mój koń centkowaty, mój płaszcz ze skóry jaguara, czapka z piórami, ręka czerwona i krzyż biały na czole, wszystkie te oznaki potwierdzały mniemanie dzikich.

Spiąłem konia, zwróciłem się o dwa albo trzy kroki w tył, i zatrzymałem naprzeciwko ścigających, a podniosłszy rękę do góry, pogroziłem wołając:

— Jestem Vacono! śmierć temu co za mną pojedzie.

Powiedziałem te słowa językiem komanszów, nie byłem pewnym, czy należycie je wymawiałem, ale spostrzegłem, że mnie zrozumiano. Moje giesta wynagrodziły prawdopodobnie niezrozumiałość słów; trudno się było omylić, co one oznaczały.

Pragnąc zachować incognito, postanowiłem nie postąpić kroku dalej. Na szczęście też wszyscy dzicy zatrzymali się w miejscu.

Przeklinałem w duszy utratę mego rumaka; przeklęta indyjska szkapa ani umywała się do niego. Mój nieporównany Moro byłby mnie już oswobodził od tej pogoni.

Spojrzałem za Isoliną, biały jej rumak oddawna przebył już pagórek i biegł teraz przez płaszczyznę, która się rozciągała za górą. Spostrzegłem, że zamiast go dopędzać, przeciwnie przestrzeń pomiędzy nami staje się co sekunda większą.

W tej samej chwili spostrzegłem ciemny cień jeźdźca, który biegł koło podstawy góry, jak gdyby dla przecięcia mi drogi. Pędził on z nadzwyczajną szybkością przez krzaki, które rosły na spadzistości góry. Słyszałem z daleka trzeszczenie gałęzi o boki przesuwającego się pomiędzy nimi konia. Widocznie jeździec starał się ukryć aby go nikt z łąki nie mógł dopatrzeć.

Nagle poznałem mojego Moro, a na jego grzbiecie cienką i kościstą postać starego strzelca.

Chwilę potem spotkaliśmy się przy wejściu do lasu.

Nie powiedziawszy do siebie ani słowa, zeskoczyliśmy obadwaj na ziemię i szybko zamieniliśmy konie.

Więc znowu dzięki Bogu mego Mora ściskałem kolanami!

— A co mój młody przyjacielu! zawołał stary strzelec w chwili, kiedyśmy się rozłączali, pędź jak pięć tysięcy dyjabłów i dogoń pannę. My będziemy wkrótce przy tobie! wszystko idzie dobrze, naprzód! tylko prędko!

Zbytecznem było zachęcać mnie do pośpiechu. Za chwilę pędziłem jak wiatr.

Wtedy dopiero pojąłem w jakim celu przyjaciele moi zrobili zamianę koni. Myśl ta przyszła zapewne do głowy naszemu sprytnemu Rube.

Gdybym był w bliskości obozu, miał swojego własnego konia, Indyjanie poznaliby we mnie białego i byłbym zgubiony.

A cóż innego, jeżeli nie widok centkowatego mustanga podał mi myśl, odgrywania swojej roli aż do końca.

Teraz miałem pod sobą konia, na którego mogłem liczyć; to też pędziłem dalej z nową odwagą i siłą. Po raz to trzeci dwa dzielne ogiery: czarny i biały, miały okazać swoję zręczność w biegu; po raz trzeci miała się rozpocząć walka pomiędzy temi dwoma zwierzętami.

Leciałem w milczeniu, ledwie oddychając; drżałem, myśląc o rezultacie tej okropnej wyprawy.

Niestety! biały rumak był daleko od czarnego.

Potyczka z wilkiem hiszpańskim i spotkanie z Rubem zatrzymały mnie dość długo, tak że Isolina o dobrą milę mnie uprzedziła.

Szczęściem jasne światło księżyca oświecało drogę. W przeciwnym razie byłbym już stracił zupełnie z oczu białego rumaka. Byliśmy na otwartem miejscu; gwiazdy nocne świeciły w całym swoim blasku, a biała jak śnieg maść konia służyła mi za latarnię przewodnią, w mojej drodze.

Wkrótce też spostrzegłem, że mój Moro zaczyna dopędzać swojego przeciwnika.

Zapewne ten ostatni musiał zwolnić te nieco. O! gdyby ta, co na nim siedziała, mogła wiedzieć kto za nią leci!... gdyby mnie chociaż mogła usłyszeć!

Silniej jeszcze spiąłem mego konia i oddaliłem się od dzikich z taką szybkością, na jaką tylko mógł się na to zdobyć mój rumak.

ROZDZIAŁ LXLI.

Ostatnia pogoń.

Obróciwszy się w stronę pagórka, spostrzegłem, że koń Isoliny stracił swoję przewagę nad moim. Białość jego maści, która błyszczała przy świetle księżyca, dozwalała mi spostrzegać, że coraz bardziej go dopędzam.

Biegł jeszcze na przestrzeni, która się rozciągała pomiędzy mną i górą i zdawał się trzymać brzegu rzeki.

Koniec mojego noża służył mi za spicrutę i ostrogę, nie zawadzała mi już lanca, pozostała w piersi Hissoo-rogo.

Trzymałem oczy wlepione w białego rumaka; zbliżał on się widocznie do zarośli, które rozciągały się u stóp góry, i był już przy skręcie, gdzie się ongi rzuciłem do wody; wkrótce miał zniknąć po za krzakami.

Nagle zobaczyłem, że skręca w lewo i skoczył w bok na otwartą łąkę. Byłem bardzo zdziwiony tem nagłem poruszeniem, bo przypuszczałem, że zbieg starał się ukryć w krzakach.

Ale nie szukając innych wyjaśnień, skierowałem się nieco ukośnie i popędziłem co sił w tym nowym kierunku.

Pragnąłem tym sposobem skrócić odległość jaka nas przedzielała.

Chciałem wołać na nią, ale byłem jeszcze za daleko. Nie tylko nie poznałaby mego głosu, ale nawet nie dosłyszałaby wołania.

Pędząc co sił, zbliżałem się szybko do upragnionego celu, zbliżałem się nieustannie.

Przestrzeń oddzielająca mnie od najdroższej istoty, coraz bardziej się zmniejszała, albo może tak mi się wydawało w oczach, przy niepewnem świetle księżyca.

Zdawało mi się, że biały koń pędzi ciężko, jak gdyby znużony długim biegiem.

Lecz nie było to złudzenie. Rzeczywiście zbliżałem się coraz bardziej tak, że wreszcie nie było między nami więcej nad trzysta kroków.

Mój głos mógł być już słyszanym.

Krzyknąłem więc bardzo głośno, zawołałem na moję narzeczonę po imieniu, wymówiłem moje imię, ale żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, żadnego znaku, co by mi dodał otuchy.

Grunt, jaki nas przedzielał, dopomagał do szybkiej jazdy, i miałem jeszcze silniej popędzić konia, kiedy w tem spostrzegam, że biały koń zachwiał się i upadł głową na ziemię.

Popędziłem jak szalony, za minutę byłem przy koniu i amazonce, leżących jeszcze na ziemi.

Zeskoczyłem czem prędzej ze siodła, właśnie w chwili, gdy Isolina powstawała na nogi.

Stanęła naprzeciwko mnie wyprostowana, z zakrwawionym nożem w ręku.

— Dziki! nie zbliżaj się do mnie—zawołała językiem komanszów, z gestem pełnym stanowczości.

— Isolino! to nie dziki!...to ja jestem...

— Henryk!... oh! Henryk!...

Milczący pocałunek był naszym przywitaniem; nie powiedzieliśmy sobie ani słowa więcej, nic nie było słychać, oprócz silnego bicia naszych serc.

Zostałem chwilę w tem poetycznem milczeniu, trzymając w objęciu moję narzeczonę.

Moro stał obok nas, i zgiąwszy swoję pyszną szyję, gryzł wędzidło spienioną mordką.

U naszych nóg leżał biały rumak stepowy ze strzałą dzikiego utkwioną w boku. Miał oczy nieruchome, szklane, krew płynęła jeszcze z rozwartych nozdrzy, ale piękne zgrabne nogi leżały już nieżywe.

Zbliżyli się ku nam jacyś jeźdzcy. W upojeniu radości zapomnieliśmy o ucieczce.

Obejrzawszy się tylko, poznałem, kto za nami spieszy.

Jeźdzcy przybyli galopem, i przypatrywali nam się, nie zsiadając z koni. Żadnej pogoni nie było już widać. Mimo to nie zostawaliśmy tutaj długo, nie byliśmy bowiem pewni, że Indyjanie zaniechają dalszych ścigań za piękną niewolnicą. Przyjaciele Hissoo-rogo mogli puścić się jeszcze za śladem zdrajcy Vacono.

Rzuciliśmy ostatnie pożegnalne spojrzenie na martwe szczątki szlachetnego zwierzęcia, leżącego u nóg naszych i spiąwszy konia pospieszaliśmy czemprędzej.

Znaleźliśmy wnet schronienie w ładnym gaiku akacyj, na niskiej murawie, wygodnej do spoczynku, do czego też skłonili nas towarzysze nasi, sami spocząwszy na trawie.

Co do mnie, nie mogłem zasnąć ani na chwilę; czuwałem tylko nad snem mojej ukochanej.

Jej śliczna główka spoczywała na moich kolanach, jej delikatne różowe lica miały za poduszkę płaszcz jaguara. Nie mogłem oderwać oczu od jej twarzyczki. Grube sploty włosów opadły na bok i spostrzegłem... małą rankę w miejscu, w którem gwałtownie wyrwano złote kółko od jej kolczyków, z ranki tej krople krwi spływały mi na rękę.

Zanadto byłem szczęśliwy, ażeby zasnąć.

Ostatnią to noc mieliśmy przepędzić na stepie. Za nim po raz drugi słońce zaszło, byliśmy już w obozie armii amerykańskiej. Teraz moja narzeczona mogła odpoczywać bezpiecznie, aż do wybicia szczęśliwej godziny....

Co do Komanszów, nie słyszeliśmy o nich więcej. Opowiadano nam później historyją jednego z ich bandy, straszną historyją. Nieszczęśliwy Vacono! okropny był jego koniec.

Opowiadano nie raz przy biwakach stepowych o szkielecie wojownika indyjskiego, którego znaleziono przywiązanego i trzymającego drzewo w swoich objęciach. Vacono zginął nędznie.

Ja jeden łzę nad nim uroniłem, czułem pewne wyrzuty sumienia. Ale wspomnienie jego puklerza ozdobionego włosami ludzkimi, wspomnienie okropnych scen w tym lesie, poświęconym dzikiej Wenus, tych niewolnic tonących we łzach, zgnębionych na zawsze opłakanym swoim losem, wspomnienie tej okropnej rzeczywistości, która mi się snem wydała—stawało mi ciągle przed oczyma i zagłuszało wyrzuty sumienia. Gdyby nie to byłbym wiecznie żałował losu tego pod nieszczęśliwą gwiazdą urodzonego człowieka. Jakkolwiek okropną była śmierć jego, zasłużył na nią za swoje czyny. Była ona sprawiedliwą karą za tyle krwawych zbrodni.

Interes dramatyczny tego opowiadania wymaga także śmierci Izurry. Jednakże nie zamiłowanie dramatycznych efektów, ale prawda zmusza mnie do zadowolenia tego wymagania.

Powracając do obozu, dowiedziałem się, że z Izurrą była już rzecz skończona.

Mój adjutant pomścił krew bratnią.

Wzruszające te dzieje i szczegółowe ich opowiadanie wymagałoby kilku rozdziałów. Pragnąc jednakże czemprędzej skończyć moję powieść, zaspokoję was kilkoma tylko faktami.

Od tej okropnej nocy, o której mówiliśmy Holingsworth znalazł silną rękę do pomocy w zemście nad zbrodniarzem. Była to ręka człowieka, który również pragnął krwawej zemsty. Tym człowiekiem był Wheatley.

Obadwaj z garstką dzielnych wojowników, puścili się za śladem gierylasów a pod przewodnictwem Pedra śledzili go bardzo daleko po za granicą linii nieprzyjacielskiej. Jak charty, dniem i nocą biegli za jego śladem aż do chwili, w której udało się im dopędzić nieprzyjaciół.

Powstała walka zacięta; szeregowcy zwyciężyli; większa część gerylasów pozostała na miejscu, a banda się rozpierzchła.

Iżurra padł pod razami Holingswortha, a śmierć Elzorro, owego złoczyńcy z czerwonymi włosami, była sprawiedliwą zapłatą za tortury, jakich się dopuszczono nad biedną Konchitą.

Zemsta moich dzielnych adjutantów była spełnioną, chociaż obadwaj pozostali ze zranionem sercem.

Wyprawa ich osiągnęła inne jeszcze owoce. Znaleźli w głównej kwaterze gierylasów wielką liczbę niewolników Jankesów i Ayankadosów, pomiędzy którymi był ów wytrawny dyplomata Don Ramon de Vargas.

Naturalnie stary szlachcic został oswobodzony i przybył do obozu właśnie w sam czas, aby powitać szczęśliwe przybycie pięknej swojej córki i przyszłego zięcia, powracających razem z wielkiej podróży po stepach.

KONIEC.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stara romantyczka, komedyja w dwóch aktach przez Stan. Bogusławskiego.— „Jakoś to będzie“, komedyjka w 1-ym akcie przez Floryjana Łagowskiego.

Epoka Fredry i Bogusławskiego przedstawia świetne czasy twórczości dramatycznej. Być może, że w obecnych jej płodach góruje wyższa i podnioślejsza tendencyja, lecz ileż za to widzimy w owych tajemniczych perłach iskier życia, ileż artyzmu, werwy i dowcipu. Nic więc dziwnego, że nie pokryła ich dotąd pleśń starości, że zawsze nas nęcą pięknością swoją, bo jest w nich coś, co się nie starzeje: jest talent i artyzm prawdziwy.

Bogusławski spogląda na świat okiem satyryka, dopatruje w nim wad i śmieszności, nie zagląda głębiej do dusz, ale chwyta zewnętrzną bardziej stronę obyczajowości i chłosta ją zamaszyście i z werwą. Postacie jego, to typy współczesne, ale jest w nich coś, co i dla nas niemałe ma znaczenie. Upatrując wady w ówczesnej obyczajowości i ogólne słabostki natury ludzkiej, kreśli je autor z nieporównaną barwnością i dosadnością.

Stara romantyczka nosi na sobie wybitne piętno owej epoki, kiedy to zgubna mara sentymentalizmu, wyrodne dziecię potężnego marzycielstwa, które tylu wieszczów wydało, nawiedzała dusze słabe i chorobliwe. Patalogiczny nastrój fantazyi i uczucia maluje się tu jaskrawymi nader rysami. Pragnąc uwydatnić wadę obyczajową, używa autor barw jak najdosadniejszych, aczkolwiek może mijających się nieco z rzeczywistością. Zresztą ogólna to była naówczas maniera. Z drugiej strony nie tyle zwraca uwagę za psychiczną stronę typu, ile na zewnętrzne formy obyczajowości.

Motywy akcyi bardzo proste, lecz mimo to widnieje w nich artyzm niespolity i głęboka znajomość warunków scenicznych.

Stara romantyczka tonie w marzeniach niebiańskich, prawi wiecznie o wyższych porywach ducha, maluje mniemane cierpienia swej duszy, która daremnie szukała niedoścignionego ideału, tak nienaturalnie sentymentalnemi barwami, że wzbudza homeryczny śmiech w publiczności a wzgardzonemu adonisowi każe napawać się roskoszą cierpienia. Ale poetyczna romantyczka ma kilka bardziej poetycznych jeszcze wiosek. Znajdują się więc około niej mniemani wielbiciele przekwitłych wdzięków. Jeden z nich stary birbant—baron—wzdycha gorąco do groszodajnej ręki, a drugi młody i wesoły chłopczyna, gra w pewnym celu zręczną komedyją. Ma się rozumieć, że romantyczna dusza kobiety znajduje upagniony ideał w młodszym. Błądzi więc z nim po gaju przy blasku księżyca i nie je nic, aby pokazać kochankowi, że, jako nadziemska istota, karmi się tylko marzeniami, co nie przeszkadza jej w skrytości spożywać bardzo prozaiczny befsztyk, popijając zamiast ambrozyi zwyczajnym porterem. Nader komicznem jest położenie mniemanego kochanka, który musi o głodzie słuchać sentymentelnych wylewów starej baby, osładzając sobie chwile wolne małym romansikiem z pokojówką. Ale wnet sprawki jego się wydają, i po udanym i wysoce komiczno-romantycznem pożegnaniu, młody ideał wyjeżdża, a stara romantyczka widzi się zmuszoną poprzestać na starym adonisie. Nagły zwrot od sentymentelnego wylewu żalów nad utratą kochanka do złożenia dłoni w ręce barona, jest przepysznie schwytanym rysem charakteru.

Dzielnie skreślona postać starego birbanta barona, to prawdziwa perła życia, werwy i artyzmu. Inne postacie są tylko akcesoryjami akcyi. W Wacławie widzimy też wiele życia i naturalnego komizmu, który jednakże służy jedynie dla uwydatnienia sytuacyi, a nie dla malowania charakterystycznej postaci.

Akcyja żywa i pełna naturalnego komizmu stanowi jednę z najcenniejszych stron utworu.

Starą romantyczkę grała pani *Mazurowska* z niezupełnem zrozumieniem myśli autora. Za mało tu było owego miękiego, a mimo to pełnego komicznej szarży sentymentalizmu, a za wiele jędrności i krzyku.

Za to prawdziwą ozdobą była kreacyja, jaką wytworzył z roli barona nieoceniony nasz *Żółkowski*. Doskonałe zrozumienie postaci, pełna życia charakterystyka, oto cenne przymioty gry znakomitego artysty.

P. *Puchniewskiemu* w roli Wacława psuła wiele fatalna wada dykcyi i owego komizmu, co to nie przystoi wcale amantowi. P. *Wolski*, który później grał też samą rolę, wykonał ją z prawdziwem zrozumieniem myśli autora.

Pani *Sawicka* i pan *Krogulski*, jako para służących nie zepsuli swych drobnych ról.

Smutno nam przejść od prawdziwie artystycznego cacka do niezręcznego płodu dramatycznej twórczości, P. Łagowski chciał uwydatnić wielce rozpowszechnioną wadę natury ludzkiej, a która w naszem społeczeństwie silniej może niż gdzieindziej się uwydatnia. „Jakoś to będzie“—oto zwyczajna piosenka dusz słabych, które żyją bez myśli o jutrze. Autor wybrał za cel do satyry szlachtę i urzędników, i dowiódł zdolności obserwacyjnych w charakterystycznem odmalowaniu pijatyki. Prócz tej jednej sceny, która się do przesytu powtarza, nic więcej udatnego w utworze p. Ł. dopatrzyć nie możemy. Żadna akcyja nie rozwija przewodniej myśli. Ciągle powtarzana pijatyka i napomnienia, jakie udzielają pijanym mężom trzeźwe żony, stanowią całą treść sztuki. Na tę rozpasaną hałastrę spada grom w postaci subhastacyi majątku dla szlachcica, a dymisyi dla urzędnika. Zjawia się jednakże anioł opiekuńczy, w postaci bardzo pięknie moralizującego młodzieńca, i winowajcy obiecują poprawić się i wziąć do pracy, na dowód czego zaczynają na nowo pić i spiewać. Zakończenie to bardzo niefortunne pod względem artystycznym i etycznym.

Rozwlekłość i jednostajność brak zręcznych motywów i sytuacyj, jak również zupełna nieznajomość warunków scenicznych, stawia ten płód na niskim bardzo stopniu twórczości, aczkolwiek spora doza satyrycznego zakroju i zręcznej obserwacyi życia, która się gdzieniegdzie uwydatnia, dowodzi, że autor mógłby z pożytkiem pracować na polu satyry dramatycznej, gdyby........ umiał pisać komedyje.

Pełna zapału i pysznej charakterystyki gra pp. *Ostrowskiego* i *Damsego* niezdołała uratować sztuki.

A. Pilecki.

GOSPODARSTWO
i
Przemysł domowy.

SERY ANGIELSKIE.

W *Glocester* wyrabia się ser z mleka tylko co udojonego, mającego właściwy sobie stopień ciepła, za dodaniem przeto doń podpuszczki łatwo i prędko się zsiadającego. Skoro mleko zsiądzie się zupełnie, odlewa się serwatkę i pozostały twarog należy dobrze wygniatać i wymieszywać rękami, dodawszy w miarę soli miałko utłuczonej. Potem tę masę kładzie się do formy, mającej w spodzie kilka wywierconych dziurek, wysłanej cienkiem zmoczonem płótnem, tak żeby masa serowa była na cal wyżej nad wysokość formy, pokrywa się z wierzchu denkiem i wstawia pod prasę od sześciu do ośmiu godzin, wychodzące z pod denka cząstki serowe, należy okroić nożem, a gdy ser stężeje, wyjąć go z formy, położyć na suchej desce i codzień z boku na bok przewracać.

Dla nadania mu barwy pomarańczowej, poszukiwanej i cenionej przez amatorów tego sera, kładzie się do mleka świeżego, trochę farby orleanowej.

Do wyrobu tego sera używa się następnym sposobem przygotowana *podpuszczka*. Do garnca czystej wody, kładzie się soli, kwiatu i liścia dzikiej róży, cynamonu, muszkatołowego kwiatu, goździków i innych korzeni, to wszystko gotuje się na wolnym ogniu dopóki czwarta część nie wygotuje się i niepozostanie tylko trzy części. Następnie cedzi się przez płótno i gdy rozciek będzie miał taki stopień ciepła, jaki ma mleko świeżo udojone, wtedy wylewa się na cielęcy żołądek, dobrze wymyty i należycie oczyszczony, który powinien być bez żadnej skazy i pochodzić ze zdrowego cielęcia. Potem dodaje się do tego jedna cytryna w listki pokrajana i zostawia się to wszystko przez dwa dni, poczem przecedza, filtruje, zlewa do butelek, szpontuje dobrze, oblewa z wierzchu pakiem, aby powietrze nie dochodziło, przechowuje w suchej a chłodnej piwnicy, a będzie zdatnym do użytku najmniej rok czasu. Mała ilość tej podpuszczki wystarcza do skrzepnięcia się mleka i nadania mu przyjemnego smaku.

W hrabstwie *Cheshire*, wyrabiają w ten sam sposób sery, nie mieszają nigdy dwóch udojów z sobą, osalają całą masę zsiadłą przed włożeniem jej do formy, lecz do czasu jego dojrzałości trzymają go w miejscu wilgotnem a nie suchem, przewracając z boku na bok.

Parmezan angielski wyrabiany w mieście Stilton i płacony na miejscu nie taniej jak po szylingu (około 30 kop.) funt, wyrabia się z mleka rano udojonego, dodając doń śmietanę, zebraną z wieczornego udoju. Po skrzepnięciu się mleka, należytem osoleniu i wymieszaniu twarogu, kładą go do formy czworocznej, wstawiają pod prasę a gdy nieco stężeje, przekładają natychmiast do odpowiedniej skrzyneczki, i tak codzień z jednej skrzyneczki do drugiej, dopóki nie nabędzie odpowiedniej dojrzałości i smaku, która właśnie stanowi jego zaletę. Ser ten należy przechowywać lat dwa nim się zacznie używać.

SER SZWAJCARSKI.

Cztery garnce mleka rannego udoju, połączone z śmietanką z wieczornego mleka pochodzącą, po przecedzeniu wlawszy do kotła, stawia się na wolnym ogniu, a gdy się ogrzeje cokolwiek więcej nad temperaturę jaką ma wychodząc z krowiego wymienia, zadaje się podpuszczki pół garnca, miesza drewnianą łopatką dopóty, póki się nie skrzepnie i nie oddzieli zupełnie od serwatki. Potem kociołek odsuwa się od ognia, odlewa serwatka, a pozostałą w masie serowej wygniata rękami, strzegąc by jej nie rozdzielać, gdyż od tego zawisła dziurkowatość w serze, która napełniona soloną wodą, dodaje mu właściwego smaku. Twaróg ten dopóty wygniatać, i oddzielającą się serwatką odlewać, dopóki jej mała tylko pozostawać będzie cząstka, poczem kładzie się w przygotowaną formę, a wysławszy ją cienkiem zmoczonem płótnem, nakryć z wierzchu denkiem, wstawić pod prasę i trzymać póki dobrze nie stężeje). Po wyjęciu ze wszech stron miałką solą natrzeć, położyć na suchej desce, przewracać z boku na bok dwa razy dziennie, nacierając codziennie solą. Po kilku tygodniach ser ten dojrzewa, jest wybornym w smaku, daje się konserwować do lat dwóch, byle tylko był zachowywany w miejscu nie wilgotnem.

SER BAWARSKI.

Z mleka słodkiego zbiera się śmietanka dolewa maślanki ile się podoba, ogrzewa na wolnym ogniu, dopóki twaróg nie oddzieli się zupełnie od serwatki. Potem twaróg wykłada się na stół i dodaje się do 24 funtów 3 garści soli, wyrabia starannie rękami, wkłada do formy wysłanej cienkiem zmoczonem płótnem nakrywa denkiem z wierzchu i wstawia pod prasę. Po 12 godzinach natarłszy go ze wszech stron miałką solą, przewraca się w formie i stawia pod prasę na drugie 12 godzin. Po wyjęciu z formy położywszy na czystej desce, suszy na wolnem miejscu, przewianem, gdzie muchy nie mają przystępu, przewracając dwa razy dziennie z boku na bok.

W ten sposób robią się sery z mleka kombinowanego w ten sposób.

Z mlekiem wczoraj wieczorem udojonem, po zebraniu śmietanki, zmieszać świeży ranny udój i postąpić jak wyżej opisano.

Świeże mleko niezbierane wziąść do wyrobu sera, lub też pomieszać go z mlekiem koziem w dowolnym stosunku.

Z samego koziego mleka wyrobiony ser w ten sposób jest bardzo smaczny.

Ser zwyczajny ulepsza się, skoro wyschnie tak, iż zżółknie zupełnie, trzymając go w suchym popiele, lub też po zupełnem stężeniu okręciwszy go w siano, skrapia kiedy niekiedy osoloną wodą.

ROZMAITOSCI.

U Richtera we Lwowie wyszedł z druku trzeci tom dzieł Wincentego Pola (własność rodziny). W tomie tym mieszczą się utwory poetyczne: „Pamiętniki Imć pana Benedykta Winnickiego“; „Mohort“ i dramat „Powódź“.

* * *

Donoszą nam z Drezna, że właściciele fabryki papierosów i tureckich tytuni, pp. J. W. Konopaccy, na obecnej wystawie saskiej, trwającej od 15 czerwca do 15 b. m., za dobroć swych wyrobów otrzymali pierwszą nagrodę.

* * *

Na wzgórzu pod Harzburgiem ma być postawiony pomnik ks. Bismarckowi. Dwie trzecie potrzebnych na wystawienie tego pomnika pieniędzy już zebrano. Obelisk wysoki z jakie 60 stóp z białego granitu z takim samym postumentem, ma nosić biust księcia Bismarcka z twarzą zwróconą ku dawnemu zamkowi. Po drugiej stronie ma być umieszczonym napis: „Do Canossy nie pójdziemy!“

* * *

W dniu 1 października r. b., nastąpi uroczyste otwarcie we Lwowie zakładu sierot i starców imienia hrabiów Skarbków. Obecny kurator JO. książe Jabłonowski, czynnie zajmuje się urządzeniem i administracyją. Dyrektorem zamianowany został p. Julijusz Starkel literat i radny miasta Lwowa, człowiek inteligentny i pracowity. Na dzień otwarcia zaproszono hrabiów Skarbków z królestwa, z których hrabia Henryk Skarbek, wedle testamentu ś. p. założyciela, ma zostać kuratorem wzniosłej tej fundacyi.

* * *

Wedle „Gazety Augsburskiej“, liczba studentów na fakultecie teologicznym w uniwersytetach niemieckich, coraz się zmniejsza. I tak: w r. 1874, w letniem półroczu, dochodziła ich liczba do 1,776, a w zimowem zmniejszyła się o stu z górą. Najliczniejszy fakultet teologiczny jest w Lipsku, na którym jest blisko 400 studentów. Najmniej ich uczęszcza w Gettyndze, Jenie, Strasburgu, Bonn, Keln, Kenigsbergu, Marburgu, Wrocławiu, Rostoku i Greifswaldzie. Nadzwyczaj zaś mało uczęszcza w Hejldelsbergu (9 studentów), a w Hissen (8 studentów).

* * *

W Londynie ukończone obecnie zostały olbrzymie roboty około kanałów miejskich, których koszt wynosi przeszło 32 milijony rs. Szczęśliwe miasto, które nie skąpi kosztów na cel chroniący go od szkodliwych miazmatów, a tem samem zabezpieczający mieszkańców od ciągłych niebezpiecznych wpływów na zdrowie. Ogromna sieć podziemnych koryt przeprowadza nieczystości do zbiorników wchodzących w morze. Długość sieci główních koryt kanałowych wynosi 150 wiorst.

* * *

Tajemnicze skrytobójstwo popełnione zostało w zeszłym tygodniu u wód w Kreuzenach. Osoba pewna, lecząca się u tych wód w towarzystwie guwernantki i 13-letniego chłopczyka, syna wyższego urzędnika, usiłowała otruć guwernantkę. O współwinę w tej zbrodni podejrzanym jest lekarz, który często znosił się z ową damą. Pomimo iż władza miejscowa oboje oddała pod nadzór policyjny, umknęli oni pozostawiwszy nawet swe tłomoki. Doścignął ich jednak telegraf we Frankfurcie nad Menem gdzie też oboje zostali aresztowani.

* * *

Dowiadujemy się z „Gołosu“, że gubernator radomski p. Anuczyn wydał: „Zarysy ekonomicznego położenia włościan w gubernijach Królestwa Polskiego w 1873 r.“ Praca ta obejmuje tekstu drukowanego 40 stronnic *in folio*, i 25 kart, każdej złożonej z czterech arkuszy. na których sposobem chromolitograficznym, czterema kolorami wydrukowane są dane statystyczne objaśniające zgodnie z tekstem położenie, do jakiego włościanie doszli w ciągu lat dziewięciu, od czasu ukazu z 19 lutego 1864 r. Karty dają wiadomości: o składzie ludności i przestrzeni gmin, o pomieszczeniu gmin, ilości osób mających prawo głosu na zebraniach gminnych, o służbie i stanie do jakiego należą wójci gmin i ławnicy, o szkołach wiejskich, kasach pożyczkowych, o stosunku przestrzeni gruntów gminnych wyrażonym w procentach, o stosunku gruntów włościańskich na jedną duszę ludności włościańskiej stałej, o pastwiskach, łąkach i lasach, o służebnościach leśnych i pastewnych, o kwestyi pomiarowej, o wartości budynków włościańskich według ubezpieczenia, o ilości koni, inwentarza roboczego i owiec włościańskich, o hodowli pszczół i o szynkach. Praca ta obejmuje zatem wiele ciekawych

szczegółów, szkoda jednak, że z powodu wysokiej ceny, dzieło to dla nie wielu tylko jest przystępnem. Egzemplarz bowiem kosztuje 100 rubli, a dzieło całe odbite zostało tylko w 100 egzemplarzach.

* * *

Na uczczenie ś. p. Karola Libelta odbyło się w Chicago bardzo liczne zebranie Polaków w sali „Słowiańskiej Lipy". W sali posiedzenia, były rozwinięte chorągwie kirem żałoby przyodziane, a w środku nich był napis: „Wspomnienie pośmiertne ś. p. Karola Libelta". Uroczystość zagaił p. Wędziński, prezydent gminy, który zawezwał p. Krzymienieckiego, towarzysza ś. p. Karola Libelta, na przewodniczącego tej uroczystości. Przemawiali pp. Wędziński i Grylaszewski, który prosił obecne panie, o zajęcie się zbieraniem składek na pomnik. Zebrały one na uroczystości 17 dol. 25 cent. W końcu uchwalono założyć dla uczczenia Libelta czytelnię i wyższą szkółkę w Chicago.

* * *

Podajemy tu próbkę polszczyzny w urzędowych pismach poznańskich. Tygodnik powiatowy pow. odolanowskiego N. 71 mieści na czele w części urzędowej następujące obwieszczenie: „Ostrów, d. 2 września 1875.— W Marsanowie i we Wielowsi pokazał się wściekły pies, który, oraz od takowe pogryzionemi psami wkrótce zabitym został. Właścicieli psów tychże miejscowości i półmilowego okręgu zapozywa się niniejszem, aby swe psy natychmiast na 6 tygodni pod karą 15 marek lub stosunkowego więzienia, na łańcuchach wiązali.—Radca Ziemiański".

* * *

W Anglii organizuje się nowa bardzo interesująca wystawa powszechna instrumentów i narzędzi naukowych, której otwarcie nastąpi w d. 1 kwietnia 1876 r. w Sonth-Kensington i która trwać będzie sześć miesięcy. Myśl takiej wystawy powzięli lordowie komitetu wychowania w tajnej radzie królowej i zawiązali specyjalny komitet na czele którego stoi lord-kanclerz i do którego należy stu rozmaitych uczonych. Celem wystawy jest zgromadzić jak największą liczbę instrumentów naukowych mających historyczną wartość, jak np. astroloby Tychona-Brahe, okularów Galileusza, wag Lavoisiera, piorunochronów Franklina i szczątków balonów Charlesa. We wszystkich krajach, które przyjmą udział w wystawie potworzone będą miejscowe komitety. We Francyi najznakomitsi członkowie Akademii przyrzekli swoje poparcie temu projektowi, a zarząd Konserwatoryjum sztuk i rzemiosł, które w zachowaniu swojem posiada bardzo wiele cennych zabytków, zobowiązało się znaczną ich część przesłać do Londynu.

OGŁOSZENIA.

Albert Stegemann dawniejszy pomocnik dobrze znanego **dentysty** ś. p. **I. Oppenheima,** wprawia **sztuczne zęby** tak w złoto, jako i kauczuk oprawne, podług najnowszej i udoskonalonej metody.

Róg Mazowieckiej Nr. 2 Ś-to Krzyskiej Nr. 18.

Salomea Masłowska.

Rekomenduje Nauczycielki, Nauczycieli, Bony i osoby do towarzystwa wszelkich narodowości. Ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 17 (416) wprost kościoła Ś-go Józefa O. N. M. P. *w Warszawie.*

NOWOŚĆ!

Urządziłem w Warszawie przy ulicy Danielewiczowskiej pod N-rem 495*a* (2 nowy) w drugiem podwórzu na dole drzwi Nr 6

MALARNIĄ

Porcelany, Szkła, Fajansu i Emalii sposobem ogniotrwałym.

Mam honor zawiadomić iż wykonywam wszelkie malatury na żądanie, mianowicie: **Portrety — Herby — Kwiaty — Monogramy — Złocenia — Napisy — Obwódki** i różne **dekoracyje,** po cenach możliwie niskich.

Dla dogodności Interesantów podejmuje się dostaw rządowych przedmiotów z Porcelany Szkła i Fajansu.

Także, udzielam Damom lekcyi malarstwa na porcelanie u siebie w pracowni lub w Domach Amatorek.

Stanisław Gorzelewski.

WAŻNA WIADOMOŚĆ

Dla chcących pięknie pisać!!!

Przed para laty przybyłem do Warszawy z zamiarem stałego osiedlenia się w tutejszem mieście w razie rozpowszechnienia i uznania mej metody. Metoda mego wynalazku posiada to pierwszeństwo przed innemi, że reguluje rękę i zmusza ją do pięknego i czystego charakteru, nie tylko u młodych ludzi lecz także i u ludzi wiekowych, u których ręka jedną ma wadę drżenie. Jak zadawalniające rezultaty otrzymałem za pomocą mego wynalazku, mogą zaświadczyć wieloliczne świadectwa zacnych rodzin tu w Warszawie zamieszkałych, jak również podziękowania młodych ludzi pracujących obecnie jako Buchalterzy tak w Warszawie w kantorach bankierskich, jak również w Łodzi. Polecając się nadal względom szanownej publiczności zaszczycającej mię swojem zaufaniem, oznajmiam że jak dotąd tak i nadal udzielam lekcyje kaligrafii i poprawnego pisania tak w mieszkaniu mojem ulica Dzielna N. 14, jak również i w domach prywatnych.

M. Reicher.

Fabryka i Skład żelaznych Mebli
Schlesingera i Margolina
WIEDEŃ—WARSZAWA.

Wrasztający z rokiem każdym ogólny dobrobyt ludności, rozwijająca się potrzeba produkcyj i zaspokojenia praktycznych a estetycznych wymagań, wyrobiła konieczność dostarczenia przemysłowi towaru w dobrym gatunku powierzchowności ozdobnej.

Stąd też fabryki wszelkiego rodzaju, według najnowszych zasad prowadzone, starają się użyciem twardego materyjału i mechaniczną tegoż obróbką, względy taniości, dobroci i komfortu uzyskać.

W przemyśle zajmującym się sprawą umeblowania mieszkań, zakładów publicznych, foksalów, altan, na skutek wyżej przytoczonych okoliczności, zaszła także radykalna zmiana, która w miejsce warsztatów podstawia fabryki, a zamiast nietrwałego drzewnego materyjału, posługuje się żelazem, cynkiem, bronzem i t. p.

Po Paryżu, Wiedeń jest pierwszem miastem, w którem przemysł meblowy, a przedewszystkiem wyrób metalowych mebli kwitnie, a fabryka nasza egzystująca od roku 1860 pod firmą J. Schlesinger et Comp., Taborstrasse Nr. 38, między pierwszemi tego rodzaju niepoślednie miejsce zajmuje.

Gdy zaś wyroby Wiedeńskie coraz znaczne ku wschodowi znajdowały odbycie i w dużych partyjach do Królestwa i Cesarstwa były ekspedyjowane p. Schlesinger wszedłszy w spółkę z p. Margolin, obywatelem tutejszym w Warszawie, podobną fabrykę otwierają, by tym sposobem módz towar krajowy publiczności z pierwszej ręki i za przystępną oddać cenę. Rachując na rozpowszechnie się mebli żelaznych i w chęci wyrobienia sobie do egzystencyi fabryki klienteli potrzebnej, ustanowiliśmy na wyroby nasze ceny niskie a i te obiecujemy z biegiem czasu zredukować.

W składzie fabrycznym przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 79 (róg Królewskiej), znajdzie Sz. Publiczność garnitury do umeblowania salonów, pokojów sypialnych, buduarów i t. p. tak masyw metalowe, jakoteż wyściełane a nadto biurka, umywalki, sześlągi, krzesła, pojedyncze stoły, meble ogrodowe, naśladujące drzewa i trzcinę, lub ozdobione inkrustacyjami, złoceniem i artystycznem malowaniem. Wybór przedmiotów bardzo wielki: a towary nasze budowane są lekko i trwale, porównanie zaś cen np. naszych łóżek ozdobnych z cenami przez tutejszych fabrykantów pobieranemi wskaże, żeśmy powodzenie naszego interesu, nie na małym odbycie a dużym zysku, ale na wielkim ruchu i umiarkowanej prowizyi oparli.

Meble naszej fabryki można nabywać tak gotowe, jak na obstalunek, podług wzorów zamieszczonych w Cennikach lub nawet dostarczanych przez kupującego.

Cenniki z odnośnemi rysunkami wysyłamy bezpłatnie tak w Warszawie jak i na prowincyją.

Z uszanowaniem.

Schlesinger i Margolin.

Rekomendacyja Nanczycielska
Tekli Kuczborskiej.

przy ulicy Wareckiej Nr. 1.

KSIĘGARNIA
S. CZARNOWSKIEGO i S-ki
w Warszawie.

Otrzymała w komis i poleca do nabycia w znaczniejszych swych **Agenturach** na prowincyi, następujące dzieła:

	rs.	kop.
Metoda praktyczna języka francuskiego	—	20
Buchhalteryja elementarna . . .	—	30
Milijon żartów I i II po	—	20
Biblijoteczka nauk przyrodniczych:		
I. O płomieniu . , ...	—	15
II. Praca i ciepło	—	15
III. Głos	—	20
Przegląd Wystawy Wiedeńskiej ilustr.	4	50
Podlewski, Poezyje religijne	—	90

Taż Księgarnia i jej kantory przyjmują w każdym czasie przedpłatę na czasopismo Opiekun Domowy, którego komplety tegoroczne, jak również z lat dawniejszych, dostarczają na każde żądanie.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 (22) Сентября 1875 г. - W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.